Cena mk. 3.00

SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok II. *Warszawa, dn. 19 marca 1920 r.* Nr. 12.

TREŚĆ NUMERU:

HIERARCHJA.

Wartość bezwzględna człowieka różni się oczywiście wielce od jego wartości społecznej. Użyteczność jednostki w tym drugim wypadku jest probierzem koniecznym. Z tego nie wynika jednak, by w pewnych wypadkach społeczność nie wychodziła z ram kwalifikowania codziennego i nie starała się rozszerzyć pojęcia użyteczności na zjawiska, odbiegające od typowych konieczności życiowych. Owszem, im na wyższym szczeblu kultury znajduje się osobnik lub społeczność, tem szerszy jest zakres funkcyj, uznanych za wartościowe. Staje się mianowicie zrozumiała użyteczność t. zw. pośrednia, cechująca funkcje (lub osoby), wzmacniające działalność funkcyj bezpośrednio użytecznych. Taką typową funkcją w dziedzinie życia fizycznego organizmu jest np. sen lub kąpiel, zaś w życiu duchowem sztuka lub nauka ścisła, nie stosowana.

W życiu społecznem takim czynnikiem, użytecznym jedynie *pośrednio*, jest inteligencja. Nie dziw tedy, że dla niewprawnego, tembardziej zaś uprzedzonego oka użyteczność społeczna inteligencji nie jest widoczna, podobnie jak dla barbarzyńcy niezrozumiała jest wartość czystości lub higjeny. Cóż się jednak dziwić ogółowi, stojącemu poza inteligencją, gdy większość inteligentów nie rozumie dobrze swej roli ani się do niej nie poczuwa.

Wpływa zaś na to kilka faktów: a) rozbicie nasze i zdemoralizowanie przez niewolę; b) wpływ doktryny socjalistycznej; c) pewnego rodzaju poczucie winy i niedorostu do wysokości powołania; d) często zbyt jaskrawa dążność pewnej części inteligencji do używania, bez poczucia obowiązku społecznego i t. d. Należy tym wpływom umiejętnie przeciwdziałać i doprowadzić wreszcie do tego, by inteligencja poczuła się w ogólnej budowie życia narodowego nie zbytkiem, ani jakowąś rezydentką, lecz mózgiem i sercem, bez których obchodzą się, coprawda, tacy Białorusini, ale też są oni dlatego tylko bierną masą bez lica, bez tradycji, bez imienia nawet, z którą się liczą chyba tylko nasi postępowcy.

Rola przewodnia inteligencji nakłada też na nią większe obowiązki, w myśl przysłowia francuskiego „*noblesse oblige*“. Obowiązki jednak te winny być zrozumiane nie jako ofiary i samowyrzeczenie, dobrowolne zejście na stanowisko drugorzędne, ile jako silna i wyraźna tendencja do zdobycia wszystkiego dla siebie i narodu, albo też, jeśli kto woli, dla narodu i dla siebie. Wyodrębniać się od narodu i przeciwstawiać mu się inteligencja nie powinna ani w sensie wyjątkowego wywyższania się ponad ogół, ani tem mniej w sensie wprzęgania się w mistyczne jarzmo ofiarnictwa i cierpiętnictwa na rzecz ogółu. Inteligencja jest częścią społeczeństwa, częścią najwyższą, lecz bądźcobądź tylko częścią i w tem jej ambicja, by interes jej i całości narodu był jak najbardziej koncentryczny. Wtedy to i tylko wtedy inteligent ma prawo dobijać się o polepszenie swego bytu materjalnego i o przyznanie mu stanowiska przodującego w narodzie, gdy przez to wzmaga się ogólna suma narodowego dobrobytu i równowaga społeczna.

Inteligent bo nie jest tylko „*primus inter pares*“, nie ilościowo tylko się różni od ogółu obywateli. Pomiędzy nim a resztą pracowników zachodzi wydatna różnica jakościowa, taka mniej więcej, jaka w ulu pszczelim odróżnia królowę od robotnic. Jeślibyśmy te ostatnie nazwali proletarjatem, trutniów byśmy mogli nazwać burżuazją, zaś królowę-matkę — inteligencją. Bez królowej rój ginie, bez inteligencji społeczeństwo się rozkłada.

Wyższość inteligencji ma się objawić tedy przez wyższość funkcyj, przez nią pełnionych. Inteligencja winna korzystać i tworzyć sztukę, naukę, całą wogóle kulturę duchową. Bo jeśli jej zaniecha inteligencja, któż wogóle ją uprawiać będzie?

Następnie winna inteligencja troszczyć się nie o siebie tylko, o interes swej warstwy i swych „bliźnich“ w żydowskiem znaczeniu tego słowa, czyli „bliskich“, lecz o interes całego narodu. W związku z tem pozostaje oczywista potrzeba *organizowania* społeczeństwa w jedną całość, czyli wyłania się potrzeba *hierarchji* społecznej.

Propagandą tej idei zajmował się u nas przed wojną prof. Wincenty Lutosławski, zaś niedawno poświęcił zasadzie hierarchji całą książkę prof. Jan Karol Kochanowski („Postęp ludzkości“).

Co jest istotą hierarchji? Podział na warstwy niższe i wyższe, przypominający np. układ klas w szkole (porównania tego używa Kochanowski). Oczywiście podział ten nie jest niezmienny ani stały, tem nie mniej jest rzeczywisty. Członkowie społeczeństwa ukła-

dają się w kształt idealnej piramidy, na dole szerokiej, zaś u szczytu wąskiej lub nawet śpiczastej. Warstwy dolne są z istoty rzeczy najliczniejsze, górne zaś liczą się czasem na jednostki.

W dwóch dziedzinach zasada hierarchji jest ściśle przestrzegana: w kościele i w wojsku, to też organizacja kościelna (katolicka zwłaszcza) i wojsko są przeważnie niedościgłemi dla wszelkich innych organizacyj.

Czynniki, regulujące układ warstw w owej idealnej piramidzie i ich porządek, są różne, lecz najistotniejsze są: a) pewna potencjalna zdolność do myślenia oderwanego; b) tendencja do twórczego promieniowania na zewnątrz i c) zdolność do zachwytu, zapału, czci dla wielkości i wzniosłości, o czem mówią Mickiewicz w „Prelekcjach“ i Kochanowski w „Postępie“.

Utwierdzenie i ugruntowanie tej zasady hierarchji z samej istoty rzeczy spada na inteligencję, gdyż jest jej najwyższym interesem, całą jej wogóle „raison d'être“. Inteligencja albo jest warstwą organizującą, i kierowniczą, albo wogóle jest zbędną.

Poza ogólną teoretyczną i praktyczną propagandą zasady hierarchji winna podjąć jeszcze inteligencja sprawę, związaną blisko z kwestją hierarchji wogóle, sprawę konkretną, a dziś w Polsce nadzwyczaj palącą. Oto w myśl zasady hierarchji winny być uregulowane *płace* pracowników społecznych i ustalone wogóle stosunkowe normy zarobków.

Jak to uskutecznić? Czy jest podobieństwem ująć *wszystkich* pracowników społecznych w kategorje ściśle określone, zhierarchizowane? *Wszystkich*, oczywiście, ująć tak niepodobna, co stwierdzili np. bolszewicy, lecz całe mnóstwo funkcjonarjuszów społecznych da się ująć w ramy ogólne i to uczynić należy. Robotnicy fabryczni, kopalniani, miejscy, parobcy, stróże, kelnerzy, rzemieślnicy, zecerzy, pomocnicy sklepowi,— a dalej urzędnicy wszelkiego rodzaju, nauczyciele, lekarze, wojsko, duchowni i t. d.—ci wszyscy, stanowiący jakie 80—90% ogółu pracowników społecznych, mogą i powinni być ujęci pod względem płac w pewne kategorje, których przekraczać nie będzie wolno pod grozą represji sądowej.

Niech ministerjum pracy zwoła ankietę z pomiędzy wszystkich zawodów i fachów, niech w porozumieniu z osobami zainteresowanemi podzieli wszystkich pracowników na szczeble i niech popróbuje wprowadzić w życie to szczeblowanie.

Wzór, powiedzmy, byłby taki:

a)	praca parobka niewykwalifikowanego oceniona jest jako	=1,0
b)	praca parobka kwalifikowanego jako	=1,1
c)	„ robotnika fabr. niewykwalifik.	=1,2
....g)	„ pracownika handlowego	=1,6
....k)	„ zecera	=2,0
l)	„ nauczyciela szkół powszechn.	=2,1
m)	„ „ gimnaz.	=3,0
n)	„ profesora uniwersytetu	=4,0
....r)	„ porucznika	=2,4
....u)	„ jenerała	=3,6

i t. d., i t. d.

Gdyby podobna zasada hierarchji została powszechnie przyjęta i uznana, oczywiście, pewne nadużycia byłyby zawsze możliwe, pewne względy rozsadzałyby ją niewątpliwie tu i owdzie (jak to i dziś zresztą dzieje się wszędzie, nawet tam, gdzie płace są uregulowane), jednak ogromna większość nieporozumień dzisiejszych byłaby usunięta definitywnie a przedewszystkiem uniemożliwione byłyby dzisiejsze perjodyczne strajki, podejmowane kolejno przez rozmaite grupy pracowników. Możliweby było przecież przesunięcie, w drodze lojalnych starań, pewnego rodzaju funkcjonarjuszów z grupy niższej do wyższej, lecz zniknęłaby ta monstrualna niedorzeczność życia dzisiejszego, gdy np. nauczyciel gimnazjum bierze pensję większą niż profesor uniwersytetu, a kelner więcej niż minister.

A nie idzie tu wszak o to tylko, by minister czy profesor mieli więcej pieniędzy, lecz o to przedewszystkiem, że dla miljonów ludzi skala zarobków kojarzy się w umyśle stale z wartością pewnej funkcji wogóle, i gdyby tak, jak jest dziś, potrwało, broń Boże, przez lat kilka, to nic nie potrafi przekonać takiego np. kelnera czy robotnika, że profesor czy redaktor pisma, to funkcjonarjusz społeczny wyższego odeń gatunku.

A dalej, jeśliby tak miało dalej potrwać, to cóżby się stało z nauką, ze sztuką, z wyższemi uczelniami, z kulturą wogóle? Któżby z niej korzystał, gdy inteligencja nie mogłaby sobie na ten zbytek pozwolić, a „uprzywilejowani“ kultury wszak nie potrzebują? Więc nie o siebie tylko inteligencja dba, lecz o całokształt kultury, gdy żąda wprowadzenia zasady hierarchji i postawienia jej, inteligencji, u szczytu tej hierarchji.

Dopóki w tej czy innej postaci ta zasada nie wejdzie w życie i nie będzie zastosowana do tej, tak ohydnie zabagnionej sprawy, jaką jest sprawa płac, dotychczas nie wybrniemy z tego chaosu i orgji pogoni za zyskiem, w której dziś tkwimy po uszy.

S. Cywiński.

Kto odpowiada?

Na ostatniem posiedzeniu Komisji Spraw Zagranicznych przedstawiciele Związku Ludowo-Narodowego zainterpelowali Rząd o wytyczne linje prowadzonej obecnie polityki względem kwestji ukraińskiej. Do tej interpelacji dają aż nadto powodów niepokojące opinję publiczną wypadki i posunięcia oficjalne i pół-oficjalne i jeszcze bardziej niepokojące pogłoski; tymczasem Rząd ani Komisji, ani Sejmowi, ani prasie nie udzielił dotąd żadnych wyjaśnień, któreby mogły uspokoić nas co do tego, że dyplomacja polska posiada w tej niebezpiecznej dziedzinie kierowników wytrawnych i kompetentnych i kierunek rostropny a celowy. Naodwrót— powoływanie do współpracy prawie wyłącznie ludzi, gruntownie skompromitowanych w czasie wojny przez bliski kontakt z intrygą polityczną niemiecką i dotąd hołdujących dawnej koncepcji złączenia Polski z systemem politycznym centralnej Europy; popieranie wysokim autorytetem pomocy Rzeczypospolitej nędznych awanturników w rodzaju Petlury; prowokowanie uczuć ludności kresowej przez głośne manifestacje gry na „Wielką Ukrainę“ przez usta wysokich urzędników państwowych; pozostawianie bez sprostowania angażujących wprost Naczelnika Państwa relacyj prasy ukraińskiej o Jego nieustannych podobno i bardzo zobowiązujących układach z fikcyjnymi przedstawicielami fikcyjnej Ukrainy; wreszcie pogłoski o tolerowaniu przez Rząd pod swym bokiem jakichś pertraktacyj z Petlurą panów Horwatta, Potockiego, Sobańskiego, Paszkowskiego i tym podobnych niepoprawnych „polityków“ z niemieckiej na Ukrainie kabały—wszystko to dowodzi, że polityka polska w stosunku do kwestji ukraińskiej jest prowadzona conajmniej w sposób niejasny i dwuznaczny, a mogący i Sejm i opinję publiczną po-

stawić wobec faktów dokonanych, krępujących w znacznym stopniu naszą dyplomację w jej układach późniejszych z realnemi siłami na wschodzie. Zdaje się nie podlegać dyskusji, że dobro Rzeczypospolitej wymaga, aby sprawa ukraińska pozostała jak najdłużej w stanie płynnym, jako atut do wygrania przez Polskę przy ostatecznym ustalaniu stosunków na wschodzie, a nie była z góry, uprzednio rozstrzygana w sposób Polskę jakkolwiek angażujący, stając się kartą wygraną i bezwartościową.

Tymczasem zachowanie się Rządu budzi najpoważniejsze obawy, że otaczając się i posługując wyłącznie ludźmi najmniej odpowiednimi w tej sprawie, ma oczy zamknięte na całą przepaścistą doniosłość kwestji i pozwala się faktom popychać ku nieuchronnym konsekwencjom nieopatrznych kroków, do rozwiązania, które zapewne i w jego intencjach bynajmniej nie leży. Ta sytuacja wymagała koniecznie wyjaśnienia, samo zagadnienie dojrzało do dyskusji, życie zmusza nas do zdawania sobie sprawy dokładnie ze wszystkich jego trudności i niebezpieczeństw, do ważenia wszystkich możliwości i do zdecydowania jasnej linji postępowania.

Tej dyskusji, tego sprawdzenia prawidłowości drogi, po której gnają nas wypadki, tworzone przez siły, ukryte dla kontroli opinji publicznej, zażądał Związek Ludowo-Narodowy. Ku niemałemu jednak zdumieniu niewtajemniczonych pan Prezydent Ministrów nie tylko uchylił się od dyskusji, ale stwierdził, że według niego utrzymanie sprawy ukraińskiej w stanie płynnym—wymaga przedewszystkiem—niedyskutowania jej treści w komisji! Wniosek zażądania od Rządu przedstawienia swego w tej sprawie programu widocznie zaskoczył wszystkich—bo i Polskie Stronnictwo Ludowe i Narodowe Zjednoczenie Ludowe rozbiły się przy głosowaniu, i wniosek większości nie uzyskał. Komisja zatem—wszystkie stronnictwa z wyjątkiem Związku Ludowo-Narodowego i Chrześcijańskiej Demokracji—nie uznała potrzeby poinformowania jej przez Rząd o tej najdonioślejszej i najryzykowniejszej akcji, którą w imieniu Polski ktoś bez parlamentarnej kontroli prowadzi, nie uczuła potrzeby przedyskutowania tej kwestji, nawet bez stawiania jakichkolwiek wiążących Rząd szczegółowych dyrektyw, skoroby prosił o wolną rękę co do wyboru środków politycznych: nawet ustalenie celu tej akcji dla klubów „większości" sejmowej i lewicy wydaje się rzeczą Rządu samego. Tem głosowaniem te stronnictwa wzięły na siebie współodpowiedzialność z Rządem za tę politykę, która z zewnątrz patrzącym i niewtajemniczonym w jej głębsze arkana i zamierzone granice i cele—wydawać się musi poprostu szaloną.

Sytuacja jednak jest parlamentarnie niezwykła: stronnictwa, z wyjątkiem dwóch, poparły Rząd w niesłychanie skomplikowanej i namiętne spory budzącej kwestji—bez dyskusji i bez przedłożenia przez Rząd jakiegokolwiek merytorycznego wniosku, poparły go zatem na ślepo. Czy więc pozaparlamentarną drogą zyskały dostateczne wyjaśnienia i gwarancje, że kwestja ta będzie rozwiązana według ich programu (jakiego?), i że polityka ta żadnej szkody państwu nie przyniesie? Kto więc ostatecznie za tę politykę i jej skutki ponosi nie formalną, ale istotną, rzeczywistą odpowiedzialność? czy Rząd? czy panowie Horwatt z towarzyszami? czy dowództwo frontu? czy sam Naczelnik Państwa—i tylko On? Czy pan Skulski trwa przy kiedyś ogłoszonem zrzeczeniu się kompetencji w zakresie polityki zagranicznej? Sądzimy, że na pytania te musi być opinji publicznej dana jasna, kategoryczna odpowiedź: naród chce wiedzieć i ma prawo wiedzieć, kto bierze na siebie odpowiedzialność—i czy jej podoła—za wyrastanie na jego granicy jakiegoś tworu politycznego, którego cała

---

X. PROF. AL. WÓYCICKI.

Socjalizm a Religja.

(Ciąg dalszy).

Rozkwit nauk, sztuk pięknych religji wiele zawdzięcza. To samo trzeba powiedzieć o prawie, którego idea sama jest pochodzenia religijnego; a do dziś jeszcze prawo świeckie odczuwa na sobie wpływ znaczny prawa kanonicznego. Wreszcie i na politykę wpływ czynnika religijnego był i jest zawsze silny: tam, gdzie państwo nie gwałci uczuć religijnych obywateli, lecz ułatwia ich pielęgnowanie, kwitnie zgoda w narodzie i zdrowie moralne; gdzie zaś władza państwowa tępi religijność w społeczeństwie, tem samem powoduje niezgody polityczne i utrwala szkodliwy rozdźwięk wśród obywateli, który zawsze ma podłoże w rozdźwięku religijnym. Francja przedwojenna jest tego najwymowniejszym przykładem.

Wniosek tedy wypływa stąd jasny, że wpływ czynnika religijnego jest zawsze ogromny na całe życie społeczne i że dlatego choćby sprawa religji nie może być sprawą prywatną samej jednostki.

Religja występuje jako czynnik społeczny nie tylko w swem działaniu na inne zjawiska społeczne, ale jest ona sama w sobie zjawiskiem wybitnie społecznem — w tem co w sobie zawiera i co bezpośrednio organizuje. Wszystkie jej przejawy mają kształt społeczny; wszystko, co od niej pochodzi, ma społeczną doniosłość. Co bo zawiera w sobie religja? Najpierw dogmaty, czyli zasady wiary, następnie ceremonje i praktyki święte, dalej instytucję kapłaństwa czyli organizację osób, których zadaniem jest czuwać nad skarbem wiary tudzież jego rozpowszechnieniem wśród ludu, odbywać ceremonje przepisane i opiekować się temi urządzeniami materjalnemi, jakie są niezbędne do wykonywania tych czynności. Wreszcie religja zawiera w sobie moralność, wypływającą z dogmatów, a głoszoną przez usta kapłanów. Te właśnie strony zjawiska religijnego są wybitnie społecznemi. Dogmat bowiem to nic innego jeno prawda, która obejmuje umysły wszystkich wiernych; owszem, jako wierzenie, rozszerza się ona, gdyż przenika myśl, uczucie, wolę, wyobraźnię wierzącego i skłania go do przysparzania tej prawdzie prozelitów. Ceremonja — to praktyka, rozumiana w ten sposób, iż ma się ona powtarzać w tysiącznych razach, albowiem ten, kto jest jej obecny, winien chcieć nie tylko zostać jej wiernym w ciągu swego życia, ale także iżby ona była przyjęta i przez całą grupę społeczną, do której sam należy.

Kapłaństwo znowu to organ społeczeństwa, wytworzony przez organizm społeczny w celu wyłącznego poświęcenia się czynnościom religijnym, które pewna część lub całość społeczeństwa uznaje dla siebie za konieczne. Wreszcie moralność, wypływający z religji, umacnia dobre obyczaje narodu, gdyż stanowi ona re-

przeszłość i wszystkie aspiracje czynią niebezpiecznym, przebiegłym, obcym intrygom podatnym wrogiem potęgi państwowej Rzeczypospolitej. Milczkiem, podświadomie jakby, potajemnie, bez niczyjej jawnej dyrektywy i odpowiedzialności najdonioślejszych zadań życia narodowego w demokratycznej Rzeczypospolitej rozstrzygać nie wolno. Żądamy światła i zdemaskowania anonimowej polityki. Chcemy wiedzieć, kto nas prowadzi i do jakiego celu.

Acerbus.

Habent sua fata libelli...

To piękne przysłowie łacińskie nasunęło mi się pomimo woli na myśl, gdy przeczytałem świeżo dwie „stare" książki: Romana Dmowskiego „Myśli nowoczesnego Polaka" i Zygmunta Balickiego „Egoizm narodowy wobec etyki". Pierwszą z tych książek znałem dawno, bo już w roku 1909 przeczytałem ją był. Drugiej nie znałem całkiem, bo tytuł jej był dla mnie dotyla odpychający, żem jej nie chciał brać w ręce. A zresztą i książka Dmowskiego też zraziła mię do siebie. Wrażenie po jej przeczytaniu sformułowałem był tak: „Dmowski pisze tak, jak gdyby Chrystusa jeszcze nie było!"

Od tego jednak czasu minęło lat jedenaście. Burze i wichry przeszły nad światem i Polską. Rzeczywistość w nowe się kształty przyoblokła. Sto marzeń się rozwiało; sto drugich nabrało rumieńców życia. Nastąpiło sławetne przewartościowanie wartości.

Uległy mu i książki powyższe. Minęła dla nich „współczesność niestateczna, nadeszła przyszłość—korektorka wieczna". I cóż ona o nich mówi? Co orzeka dzień dzisiejszy polski o tych dwóch książkach tak sobie bliskich, a wydanych po raz pierwszy kiedyś tam przed szesnastu czy siedemnastu laty?

Nie przypadek to zetknął mnie obecnie z temi książkami. Od pewnego czasu czułem, że mię coś ku nim popycha, coś mi każe o nich myśleć... I gdym nareszcie wziął je jedną po drugiej w ręce, *wiedziałem* odrazu już, że znajdę w nich gotowy wyraz dla mgławicowych dum, co mi się po głowie snują, że znajdę klamrę, co mię z rzeczywistością połączy!

I rzeczywiście! Książki te dwie dały mi na dziś maximum tego, co wogóle od książki wziąć można: wytłómaczenie niejasnych i niezrozumiałych znaków, porozrzucanych tu i tam przez życie po wielkiej drodze teraźniejszości narodowej. Uwydatniły mi te książki tajemny związek pomiędzy ideologją narodową doby ostatniej, a tem, co z klęski narodowego potopu starało się dźwignąć pokolenie Mickiewicza. Wyjaśniły mi wreszcie te książki, jak szczery i sumienny twórca i polityk organizuje duszę narodową i kształtuje ją na obraz i podobieństwo własne, ale tylko wtedy, gdy wyczuje możliwości twórcze, tkwiące w tej duszy oraz wyczyta znaki na niebie i na ziemi, wieszczące to, co się stać może i powinno, lecz co się również może nie stać, gdy się nad tem nie będzie pracowało.

Tak, wiele mię dziś te książki nauczyły. Poprostu: dziś dopiero dojrzałem do nich!

Zapytajmy teraz: czy ta ewolucja, która się dokonała w jednej drobnej cząstce narodowego organizmu, znajduje jakowyś odpowiednik w rozwoju tego organizmu jako całości? Czy też może jest to tylko przypadek zapóźniony czy uboczny, na którego podstawie niepodobna żadnych wniosków ogólnych wyprowadzać?

Zdaje mi się, że bez obawy wpadnięcia w przesadę i jednostronność uogólnień można stwierdzić, że ewolucja, która się dokonała w autorze niniejszego ar-

---

gułę postępowania i działania zbiorowego dla wszystkich członków grupy społecznej.

Religja tedy ze względu na wszystkie swe części składowe stanowi potężny związek między ludźmi, najsilniejszą spójnię wśród członków narodu. Zawiera się to już w samej jej nazwie. Wyraz „religja" pochodzi od słowa „religare", co znaczy wiązać, łączyć, spajać. Teologja chrześcijańska wyraz ten stosuje do związku, jaki łączy człowieka z Bogiem, socjologja zaś stosuje go nadto do związku, łączącego najsilniej człowieka z człowiekiem, klasy społecznej z innemi klasami, narodu z narodem i z ludzkością. Pokrewieństwo między temi dwoma pojęciami jest niezaprzeczone. To też, jak mówi nauka polityczna, szczęśliwym nazwać się może ten naród, którego obywateli wiąże ten potężny związek, jaki wypływa z najgłębszego uczucia ludzkiego, z uczucia religijnego. Nowoczesna nauka polityczna stwierdza, że te narody wykazują najwyższą odporność wobec wewnętrznego i zewnętrznego wroga, które mają jedną a bardzo intensywną religję; mniej zaś odpornemi są te ludy, których obywatele wyznają dwie lub więcej różnych religij (Anatol Leroy-Beaulieu).

Co więcej, religja łączy nie tylko ludzi jednych z drugimi, ale i z innemi jestestwami i łączy ona świat umarłych ze światem żyjących, pokolenia obecne z pokoleniami minionemi. Tem samem niepomiernie rozszerza koło społeczne, do którego wprowadza pokolenia żyjące, jako też i te, które dawno już zeszły z tego świata. I właśnie w religji, a nie gdzieindziej szukać należy pojęcia, właściwego znaczenia samego wyrazu „ojczyzna". Cóż to bowiem jest ojczyzna? Czy to tylko kraj, zaludniony przez mieszkańców jednej czy kilku ras? czy obszar geograficzny? czy materjał etnograficzny? czy poprostu masy fizyczne? Rzecz prosta, że pojęcie ojczyzny nie jest fizyczne. Masy, lud, kraj, klasa—to tylko ciało; ojczyzna zaś to dusza. Jeżeli dusza nie jest tylko parą, to jest ona nieśmiertelna. Dusza nie może nie wiedzieć o sobie, czy ona jest, czy była, czy będzie; jest ona świadoma siebie. Dusza jest wyższa od ciała. Ciało powoli niknie, zmienia się, dusza jest niezniszczalna. Ojczyzna tedy to coś większego niż lud. Narody, pokolenia, rody przychodzą i odchodzą. Ojczyzna pozostaje. Ojczyzna jest to spójnia duchowa rodzin, rodów, klas, pokoleń żyjących, zmarłych i tych, które mają dopiero przyjść na świat. Ojczyzna to cudowne i rzeczywiste zwycięstwo nad urodzeniem i śmiercią, wskrzeszenie zmarłych, nieśmiertelność żyjących. Ojczyzna tedy to pojęcie nie fizyczne i nawet nie metafizyczne, lecz religijne. Bóg jest ojcem; od Ojca pochodzi ojczyzna. Jeżeli niema Ojca w niebie, to i na ziemi niemasz ojczyzny. Ojczyzna w ostatecznej definicji to religijne połączenie ludzi dla aktu wszechświatowo-historycznego. Dopóki jest wola do tego aktu, dopóty jest i ojczyzna. Wspaniale potwierdzają tę prawdę nasze polskie dzieje. My, Polacy, mieliśmy ojczyznę nawet wówczas, gdy ją nam na przeciąg stuletni odebrano, ponieważ mieliśmy w sobie wolę do spełnienia tego aktu wszechświatowo-historycznego, w jaki wierzyliśmy, że nam Opatrzność w dziejach dokonać przeznaczyła, Jak też cudnie stosują się nie tylko do jednostki, lecz i do narodu słowa

tykułu, jest jeno ułomkiem wielkiej, powszechnej ewolucji, zachodzącej w duszy dzisiejszych Polaków, a to pod wpływem doby naszej, doby państwowej, jak i doświadczeń, które narodowi naszemu przyniosła wojna.

Dopiero dziś my, jako naród, zaczynamy dojrzewać do tego, co wydumali przed laty ci dwaj twórcy nowoczesnej Polski, Balicki i Dmowski, i co w swych książkach omawianych wyrazili. Jakkolwiek znane i uznane już dawniej, dwie te książki nie były jednak tak ocenione jak na to zasługują, a to poprostu dlatego, że... „habent sua fata libelli". Czas ich nie był jeszcze przyszedł!

Dziś wreszcie czas ten nadszedł. Cóż bo nadewszystko Polsce jest dziś potrzebne? Zmysł państwowy; wyczucie tego, co każdy z nas, jako społeczeństwa ludzkiego członek, czynić dziś powinien; intuicyjna, odruchowa i świadoma zarazem współpraca wszystkich dla jednego celu, uwidocznionego już nareszcie w kształcie państwowości; instynkt nieomylny narodowego sumienia, nadający rządowi, z narodu wyłonionemu, moc i ufność we własne siły i w pomoc niechybną całego narodu; owo poczucie się każdego z nas żołnierzem-obywatelem, o którym mówi Balicki; „solidarne działanie zbiorowe, punktualność i sprawność wykonania, bezwzględna obowiązkowość, poczucie wielkiej odpowiedzialności za czyn najdrobniejszy, karność nakoniec" („Egoizm", str. 91).

A dalej chodzi nam „o strząśnięcie z siebie usposobień i narowów, wytworzonych sztucznie w okresie rozbicia i zwątpienia, o powrót do naszych własnych najlepszych tradycyj" (tamże), a także o siłę moralną narodu, którą jednak „nie jest jego bezbronność, jego niewinność, ale żądza szerokiego życia, chęć pomnożenia narodowego dorobku i wpływu" („Myśli" str. 11).

Potrzeba nam wreszcie *wyczuć się społeczeństwem*, jedną wielką całością, mającą wspólne zadania i cele, współodpowiedzialność i jedno tempo. Powinniśmy wyrobić w sobie rozmach zdobywczy, wytrwałość i szacunek dla pracy i czynu, twórczość organizacyjną, której przebłyski witał już przed laty Dmowski i stąd to przepowiadał: „szybko nastąpić musi nasze ponowne wystąpienie na arenę dziejową, jako twórczego państwa, rosnącego w potęgę narodu" (str. 125).

Należy się nam nakoniec otrząsnąć raz na zawsze z czczej „deklamacji o gotowości do wielkich ofiar i poświęceń" („Myśli" str. 167), natomiast obudzić w sobie zdolność ciągłego i nieustannego *godzenia* instynktu samozachowawczego i zdobywczego jednostki z interesem państwowym, którego poczucie tak gruntownie się było zatraciło zwłaszcza śród Polaków z pod zaboru rosyjskiego.

W stosunku do t. zw. Kresów i do wszelkich wogóle „mniejszości" narodowych winniśmy pamiętać o tych ważkich i stalowych słowach Dmowskiego:

„My, jeżeli jako naród chcemy żyć, jeżeli chcemy spełnić swój obowiązek względem ludzkości i nie pozostawić po sobie marnego wspomnienia na kartach dziejowych, musimy iść naprzód, tworzyć, *organizować wedle swego typu*, wszystko, co jest zdolne ulec naszemu wpływowi" (str. 213).

I tak stronicę po stronicy, zdanie po zdaniu z tych dwóch książek mógłbym cytować, a czytelnik z zadziwieniem mógłby zapytywać: czy to aby prawda, że książki te powstały w ll. 1903—4? może to wczoraj dopiero ktoś to napisał?

W czemżeż tkwi tajemnica tej dziwnej aktualności tych książek na dziś? W tem, że ich autorowie mieli żywy i twórczy *zmysł państwowości*, który w większości narodu dopiero dziś powstawać zaczyna. Dlatego to ogół narodu przed piętnastu laty nie umiał jeszcze tych książek ocenić, a i dziś przecież zapóźnieni

---

Chrystusa: „Jam jest zmartwychwstanie i życie: kto wierzy we mnie, choćby i umarł—żyć będzie". Ale zarzucą nam niektórzy, że ten potężny czynnik życia, spójni i solidarności etnicznej, jak wyraża się socjologja, wówczas tylko jest nim rzeczywiście, kiedy mowa o religjach t. zw. narodowych. Tymczasem, określając pojęcia „religja" i „socjalizm" nadaliśmy pierwszemu terminowi znaczenie „religja katolicka". Ta zaś ostatnia jest międzynarodową, a więc jakoby miała ona być przeciwnarodową, tępiącą uczucia patrjotyczne. Zarzucają tedy, że duchowieństwo katolickie i religja, jaką ono głosi, są niebezpieczne dla państwa z powodu ich charakteru właśnie międzynarodowego. Zarzut ten czynią zarówno zwolennicy zachłannego nacjonalizmu, jak i partje skrajne, a właściwie mówiąc obaj ci wrogowie religji, nazywający religję katolicką w życiu narodowem żywiołem obcym, kosmopolitycznym, duchowieństwo zaś katolickie—klerem rzymskim, włoskim. W duszy to oni sami śmieją się ze swego dowcipu, ale w oczach bezkrytycznego tłumu zarzut ten może mieć pozory słuszności. Zarzut obcości, stawiany duchowieństwu narodowemu, jest jednym z najgłupszych, nie dającym się utrzymać, skoro tylko zajrzymy do historji ojczystej. I dla stawiających zarzut ten musi być upokarzającym fakt, że to właśnie kapłani i mnisi katoliccy ucywilizowali naród—umoralnili go i oświecili. Faktu tego żadną miarą zaprzeczyć się nie da. Dzieje każdego katolickiego narodu wyraźnie mówią to samo. Zarzucać tedy kosmopolityzm duchowieństwu katolickiemu jest to zdradzać zupełną nieznajomość historji. I, co godne uwagi, zarzut ten właśnie stawiają ci przeważnie, którzy sami są kosmopolitami, wrogami ojczyzny, bratającymi się z odpowiednim sobie żywiołem zagranicznym, a wrogim krajowi naszemu. Nasi pepeesi, poniewierani przez bolszewików rosyjskich i spartakowców niemieckich, stale zwani przez nich „socjałpredatielami", z całych sił popierają obu tych wrogów naszej ojczyzny, i gdy plwają im w twarz śliną pogardy, to nasi pepeesi udają, że to... boża rosa i na całe gardło wrzeszczą: „proletarjusze polacy, popierajcie moskiewską i niemiecką międzynarodówkę!"—Tymczasem jeżeli co na świecie ma prawo być międzynarodowem, to przedewszystkiem nie tyle interesy materjalne, a zwłaszcza klasowe, ile raczej idee ogólno-ludzkie, te, które odnoszą się do spraw najwyższych, zatem najbardziej powszechnych, a więc idee religijne czyli te, które wymagają badania nie indywidualnego, gdzie mógłby mieć swój wpływ duch rasy, lecz nauki objawionej, która całkowicie abstrahuje od przestrzeni i czasu. I stanowi to nawet—w oczach religji katolickiej—cechę jej prawdziwości, że jest ona międzynarodową. Ponieważ religja ma za przedmiot sprawę Bożą, która jest jednaką dla wszystkich ludzi, za podmiot zaś człowieka i jego sprawy, znajdujące się wszędzie, za cel—najwyższe przeznaczenie, wspólne dla wszystkich ludzi, to dlaczegoż miałaby ona dzielić się według podziału ras? Dobro, które się nie dzieli, nie ma żadnej racji rozdzielać tych, którzy z niego czerpią. Dlaczegożby więc religja, czy też przedstawiciele religji mieli wytwarzać między sobą konflikty rasowe czy niezgodę interesów materjalnych, skoro ta religja nie zwraca się ani do człowieka danej rasy, ani do człowieka ta-

maruderzy, w rodzaju socjalistów lub t. zw. postępowców, zwłaszcza tych, na rosyjskich wzorach wyrosłych, doniosłości i prawdy tych książek nie pojmują.

Cóż więcej mam o nich powiedzieć? Czem one są w istocie swojej—o tem pisano już przed piętnastu laty. Że pewne twierdzenia (naogół drugorzędne) autorów się już przeżyły, że wymagałyby rewizji—to niewątpliwe; że pewnych rzeczy autorowie nie dopowiedzieli,—to też pewna;—jednak wszystko to są uboczne szczegóły, które są przyćmione tym jednym nie ulegającym wątpliwości faktem, że książki te są dziś aktualniejsze, niż były kiedykolwiek, że są najżywotniej szemi może na dziś książkami w Polsce. I dziwnie trafną, acz bezwiedną, przysługę wyświadczył im ów ktoś, kto kilka lat chował je na składzie i dziś dopiero je na światło dzienne ponownie wydobył, jak gdyby chciał potwierdzić owo nieśmiertelne hasło Wyspiańskiego:

„Umierać musi, co ma żyć!".

A. Puchała.

WOJNA I POLITYKA.

Z zawrotną szybkością zaczynają się tłoczyć wypadki, które jeden za drugim pchają dzieje świata ku nowej powszechnej pożodze. Komedja niemiecka zajmuje w tej fali znowu naczelne miejsce. Jak przed półtora rokiem „rewolucja" była zręcznie ukartowaną grą dla wyprowadzenia w pole naiwnej Ententy i powstrzymania karzącej dłoni zwycięzców — tak dziś, gdy krzykliwie noszona czapka frygijska czerwonych błaznów już nikogo nie mami — odbywa się na dany znak z góry ukartowana „kontrrewolucja", aby na nowo usunąć z pod ciężkich warunków pokoju zręcznych zbrodniarzy, odpowiedzialnych za sześcioletnią krwawą tragedję. Ta sama batuta Tirpitzów i Hindenburgów, pod którą potulnie szli przez lat sześć socjaliści rządowi, zaprzęgając do wielkiej intrygi politycznej Niemiec socjalistyczne partje całego świata — ta sama batuta kierowała „rewolucją" i nie przestaje kierować karnym sprusaczonym narodem niemieckim i teraz—w dobie „kontrrewolucji". Aktorzy obu aktów zgodnie odegrywają swoje role, wedle ich wskazówek — to się kłócą, to się godzą na scenie — aby na te pozory brać naiwnych dyplomatów „sojuszniczych" państw, które, jak to zwykle bywa przy podziale łupów, podejrzliwie na siebie patrzą wzajemnie i zaczynają przemyśliwać o pozyskaniu na wyścigi bądź to względów powalonego przeciwnika, bądź to możności jego skutecznej eksploatacji. Moment zaabsorbowania całej uwagi państw sojuszniczych nierozwiązaną sytuacją na Wschodzie wybrano trafnie dla zrzucenia maski rowolucji w Niemczech. Jeżeliby te rachuby były mylne — jużby w 24 godziny po wybuchu wojska Focha maszerowały na Berlin, wojska polskie na Wrocław i Królewiec. Ale tak, jak Europa przed stu laty na wieść o ucieczce Napoleona z Elby stanęła w osłupieniu — tak i dziś wypadki berlińskie zaskoczyły naiwną Ententę, która, zdaje się — po głosach prasy sądząc — szukać nie już środków przymuszenia Niemiec do wykonania traktatu, ale raczej pozorów przyzwoitych do udawania wiary w ich dobrą wolę i do tolerowania coraz do dalszych zmian w traktacie. Że konsekwencje tego porażenia woli zbiorowej, w jakiem zastaje państwa sojusznicze przewrót berliński, muszą być opłakane, że muszą być groźne zwłaszcza dla Polski — jest jasne dla każdego, kto bez różowych okularów patrzył na to, co się dzieje w Niemczech od półtora roku. W całym świecie powojennym jedne Niemcy zużyły czas zawieszenia bro-

---

kiej, nie zaś innej barwy, ani specjalnie do obywatela, ani specjalnie do właściciela, lecz poprostu do *człowieka*.

Przeciwnie, dla ludzkości jest daleko pożyteczniej posiadać w pewnej instytucji powszechnej element moralny, wprowadzający do stosunków ludzkich jedność. Jest to życzenie bardzo wielu umysłów wyższych i wpływowych grup ludzkich. Uczucie bowiem religijne dla owej cechy powszechnej i czysto ludzkiej, jako najgłębsze z uczuć człowieka, stanowi doskonałe przeciwstawienie wygórowanemu nacjonalizmowi, czynnik pokoju wśród ludów, postępu ogólnego wśród ras. Zwłaszcza religja chrześcijańska, ściślej mówiąc katolicka, umie każdej rzeczy wyznaczyć odpowiednie miejsce, wskazać gradację naszej miłości. Wskazuje ona w życiu społecznem najpierw rodzinę jako gniazdo, w którem Opatrzność umieściła nas po przyjściu na ten świat, w któremześrodkowuje się cała nasza energja, w którem nasza siła ekspansywna znajduje swą mocną podporę; następnie ojczyznę, czyli ogromnie rozszerzoną rodzinę, ale jeszcze osłanianą granicami od zewnętrznych i wewnętrznych niebezpieczeństw, wreszcie ludzkość całą, która wyszła z rąk Bożych i została odkupiona przez Chrystusa. Taka religja jest pierwszym czynnikiem ładu, spokoju, i pomyślności; wszyscy znajdują w niej dostateczną obronę i pomoc. Taka instytucja to ideał czynnika powszechnego, ponad który nikt dotąd nie wynalazł nic skuteczniejszego, nic wznioślejszego do urzeczywistnienia zadań jednostki, narodu i ludzkości całej.

Zatem nieprawda to, co rozsiewają politycy złej woli, jakoby religja katolicka tudzież jej kapłani stanowili żywioł obcy w narodzie, wrogi narodowi. Jest to kłamstwo wyraźne i świadome. Religja katolicka nie tylko nie jest instytucją przeciwnarodową, lecz przeciwnie—najpotężniejszym czynnikiem życia narodowego: według głoszonej przez się moralności, w przykazaniu czwartem każe ona kochać nie tylko matkę, która wydała człowieka na świat, ale i tę drugą, wielką matkę—ojczyznę, karmicielkę i wychowawczynię wszystkich pokoleń. Stąd wszystko, co podpada pod pojęcie ojczyzny, etyka katolicka każe czcić i szanować, a więc język, mowę, dzieje ojczyste, naukę, sztukę i kraj ojczysty, współobywateli zaś swych nakazuje kochać jak braci. Co więcej, głoszenie tej religji musi odbywać się—wedle praw Kościoła—w języku ojczystym ludzi; świątynie przyozdobiają się dziełami sztuki—budownictwa, malarstwa i rzeźby,—płynącemi z ducha każdego narodu; ceremonjom towarzyszy śpiew i muzyka rodzima. Słusznie też stwierdza socjologja, że każdy naród wkłada w swą religję temperament narodowy, swą duszę zbiorową, swe talenty najwznioślejsze. I religja katolicka, acz międzynarodowa, nie stanowi tu wyjątku. Czyż nasza religja katolicka w Polsce przestaje być narodową, a staje się przeciwnarodową dlatego tylko, że jest rzymsko-katolicką? czyż nie wzywa ona języka polskiego do szerzenia wiary wśród ludu, pieśni religijnych, hymnów i kolend przy nabożeństwach, dzieł sztuki polskiej do ozdoby domów bożych? Czyż nie uświęciła ona wielu a wielu zwyczajów czysto polskich w swych ceremonjach kościelnych, jak święcenie ziela na Matkę Boską Zielną, święcenie pokarmów (święconego) na Wielkanoc i t. p.? Owszem, sam sposób co-

ni według świadomego, konkretnego, z góry ułożonego planu odwetu: żadne poruszenie nie było tam przypadkowe, żadne nie było daremne. I dziś zaczynamy widzieć zarysy nowo wznoszonej z gruzów potęgi niemieckiej. Któż, jeżeli nie Polska — musi najbaczniejszą wobec tej groźnej rzeczywistości zachować postawę; któż bardziej niż my ma obowiązek bić na trwogę i wołać do świata całego — że owoce sześcioletniej walki, nadzieje i marzenia krwawym zgonem koszonych miljonów — są nad brzegiem przepaści!

Może też wypadki berlińskie otrzeźwią Czechy, które zadrżały wobec możliwego echa, jakieby one znaleźć mogły po drugiej stronie Sudetów. Konieczna, naturalna zbieżność interesów Polski i Czech wobec wspólnego wroga, niosącego nam osłabienie, ale Czechom — zagładę, wobec gwałtownego odruchu Węgier, wobec tendencji Austrji do łączności z Rzeszą— staje się coraz jaskrawszą. Czas wielki, by Czesi pojęli, że gwałt, zadany ludności naszej na Śląsku, może wydać Czechów-rozbójników na łup większych jeszcze i silniejszych rozbójników, niż oni, a nam uniemożliwi ich ratowanie. Czas oderwać się od namiętności lokalnych — a powrócić do wielkiej linji polityki wojennej Massaryka, która wymaga przedewszystkiem zaniechania awanturniczej polityki rozboju na sąsiadach, cierpliwych do czasu.

Wobec wypadków berlińskich przystoi też polityce polskiej skupiona powaga. Nie przechwałkami, nie awanturami, nie małodusznem też ciskaniem się na prawo i na lewo, nie kabałą ukraińską — ale trzeźwem, spokojnem doprowadzeniem do końca sprawy umocnienia naszych granic wschodnich, a przedewszystkiem mocnem ujęciem w karby życia wewnętrznego, bezwzględnem ujarzmieniem zdradzieckich elementów, godzących w organizm państwowy od wewnątrz — uzdolnimy Polskę do sprostania niesłychanym zadaniom, jakie chwila próby odwetu niemieckiego przed nami stawia.

X.



Reforma szkoły ludowej.

Mało jest dziś wieśniaków tak zacofanych, iżby nie wiedzieli, co warta oświata i dobra szkoła. Wielu z nich było za zarobkiem w Niemczech i w Danji, a nawet w Ameryce, i przekonali się, że tamtejszy wieśniak lub farmer wyciąga znacznie większy dochód z roli, z ogrodu i z hodowli i wygodniej sobie życie urządza, bo ma więcej oświaty. Wieśniak oświecony nie daje się okpić na miarze, wadze lub gatunku, nie słucha ślepo doradców pokątnych, podczas wyborów nie idzie bezmyślnie za hasłem rzuconem, ale z gazet poczciwych i z dobrych książek dowiaduje się, co i jak być powinno, kieruje się własnym zdrowym, światłym rozsądkiem i budzi uznanie i poszanowanie.

Podstawą zdrowej oświaty jest dobra szkoła, t. j. taka, w której nauczyciel jest fachowy i gorliwy, gdzie budynek szkolny zaopatrzony jest na czas w opał, w sprzęty szkolne i we wszystkie przybory do nauki, a plany szkolne i podręczniki są praktyczne i bez zarzutu. Pomówimy o planach szkolnych, które niebawem mają doznać reformy.

W Małopolsce obowiązuje na wsiach sześcioletni, a w miastach 7-letni obowiązek codziennego uczęszczania do szkoły, poczem dziecko przez 3 lata ma jeszcze chodzić na naukę dopełniającą przez 4 do 6 godzin tygodniowo, zwykle w niedzielę. Nowe plany chcą i na wsiach zaprowadzić 7-letnią naukę codzienną, ale nie wykluczają możliwości, że dla braku nauczycieli w wielu szkołach dzieci uczyć się będą tylko przez 5

---

dzienny odbywania praktyk religijnych pod wieloma względami jest czysto polski, nasz rodzimy, np. ranne śpiewanie pięknych godzinek w rodzinie, wogóle jest on zupełnie inny u nas, a inny np. we Francji, inny we Francji niż w Hiszpanji i t. d., mimo że we wszystkich tych krajach jedna panuje religja katolicka, która cudownie umie wcielić dążność całego narodu ze wszystkiemi jego właściwościami i upodobaniami ku Bogu. Tem samem religja katolicka jest najlepszą strażniczką uczuć patrjotycznych i opiekunką ducha narodowego.

Z powyższego wypada, że religja to nie sprawa prywatna tylko jednostki. Niemądrą tę, kłamliwą formułę socjalistyczną obala nauka i życie. Religja to zjawisko wybitnie społeczne dla swego działania, istoty, formy. Bez tej siły moralnej nie ostoi się społeczeństwo, jak nie obejdzie się zdrowie moralne jednostki. Religja obejmuje całe życie, wszystkie czyny człowieka, ponieważ sięga rdzenia tego wszystkiego, co człowiek czyni. Każdy czyn, zanim urzeczywistni się nazewnątrz, już jest dokonany w woli, w chceniu, w zamiarze. I myśl podobnie—słusznie mówi ks. prof. Szymański („Studja społ."). A właśnie religja dosięga wprost i przedewszystkiem tego zamiaru, nad nim roztacza swe panowanie. A ponieważ każdy czyn musi być spełniony w jakimś zamiarze, musi pochodzić z jakiegoś chcenia, przeto religja przenika wszelką działalność jednostki i społeczeństwa—ekonomiczną, zawodową, społeczną, umysłową, artystyczną, prawną i polityczną. Każda działalność ludzka musi natchnąć się duchem religji lub go odrzucić, ale obojętnie wobec niej przejść nie może. To stanowisko nazewnątrz może nie być ujawnione, ale związek wewnętrzny lub przeczenie zasadnicze zawsze będzie. Nie można tedy w imię hasła „religja jest rzeczą prywatną jednostki" rozróżniać czynów osobniczych od zbiorowych i publicznych i tym ostatnim nadawać charakter neutralny, choćby tamte były nawet religijne. Religja bowiem i nauka nie dopuszcza takiego podziału. Religja bierze w swe posiadanie czyn w samym zarodku: w woli, a tam niema różnicy między czynem publicznym a prywatnym. Każdy czyn świadomy człowieka wierzącego jest religijny. Można tej religijności w pewnych wypadkach wyraźnie nie ujawniać, ale nadawać czynom człowieka wierzącego cechę neutralności to znaczy zadawać im gwałt. Religja jest wszystkiem albo niczem. Wszystko, co człowiek działa, jest religijnem albo nie. Religja nie znosi obok siebie innego pierwiastka ożywiającego i pobudzającego. Sama jest pobudką, celem i duszą czynów. Wszelka inna pobudka czynu może istnieć o tyle, o ile jest zgodna z religją, jej podporządkowana i przez nią uświęcona. Religja wskazuje człowiekowi cel ostateczny — Boga i doskonałość duszy ludzkiej; do tego celu człowiek ma odnosić wszystkie swe myśli, uczucia i uczynki. Odnosi je zaś przez intencję, zamiar. Wszystko, co czyni, ma czynić na chwałę Bożą i zbawienie duszy. Może mieć cel bliższy i do niego dążyć, ale celem ostatecznym musi być Bóg, któremu też muszą być podporządkowane wszystkie cele bliższe. Inaczej religja nie będzie religją, lecz blichtrem, pozorem. Socjaliści tedy z religji, przez się rozumianej jako sprawy prywatnej człowieka, chcą zrobić taki właśnie blichtr, taki pozór, czyli chcą zrobić

lat. Mało zaś nacisku kładą nowe plany na naukę dopełniającą. Co o tem sądzić?

Jeśli w każdym powiecie w gminach zasobniejszych powstaną rozwinięte szkoły 7-klasowe o 7 nauczycielach, to zdolniejsze dzieci z gmin sąsiednich, ukończywszy u siebie klasy niższe, będą mogły chodzić tam do klasy 5-tej, 6-tej i 7-mej, a potem udać się do miasta odrazu do klasy 4-tej gimnazjalnej, do seminarjum naucz., do szkoły handlowej, rzemieślniczej, rolniczej lub ogrodniczej; szkoły rolnicze niższe tworzą nawet z reguły gdzieś na wsi. Będzie to wielce dogodne dla każdego ojca rodziny, który pragnie roli nie dzielić, ale przekazać ją jednemu z synów w całości, a inne dzieci wywianować dorobkiem pieniężnym, dając im środek do życia przez wykształcenie w szkole fachowej. Myśl tę powinni wieśniacy przyjąć z wdzięcznością i poprzeć gorąco, bo ona ich dobro głównie ma na uwadze.

Z siedmiu klas nauki skorzysta jednak przez wiele lat zaledwie pewna część dzieci; ogół dziatwy poprzestać musi na nauce pięcioletniej. Czy to wystarczy? Sądzimy, że tu właśnie projekty reformy wymagają ulepszenia; postaramy się też przedłożyć wniosek, odpowiadający lepiej potrzebie oświaty i naszym stosunkom społecznym.

Doświadczenie w Małopolsce pouczyło, że niejeden poborowy, który ukończył sześcioletnią szkołę ludową, okazał się w wojsku niepiśmiennym, bo po opuszczeniu szkoły nie miał sposobności pisać. Czytania nie zapomniał, bo czytywał modlitwy i pieśni z książki do modlenia. Smutny ten fakt pobudzi do zaprowadzenia wspomnianej nauki 3-letniej dopełniającej. Niestety nauka ta nie przyjęła się naogół; ani nauczycielstwo, ani lud nie byli z niej zadowoleni. Z reguły mało uczniów na nią uczęszczało.

Nie dosyć na tem. Nawet sześcioletnia nauka codzienna istniała na wsiach tylko na papierze; w rzeczywistości w 5-tym i 6-tym roku nauki mało dzieci chodziło do szkoły. Jeżeli na 1-szym roku było 60 dzieci, to na 5-ty rok dochodziło z nich 5 do 8., a na 6-ty rok zaledwie 3 do 5. Jedynie w miastach klasy 5-ta, 6-ta i 7-ma miały uczniów poddostatkiem. Dlaczego tak? Bo na wsi rodzice używali starszych dzieci do pasania bydła i do różnych posług w gospodarstwie i raczej płacili grzywny, a dzieci do szkoły nie posyłali. Z faktem owym, powszechnym i długotrwałym, należy się liczyć na serjo i tak urządzić szkolnictwo, aby ów fakt się nie powtórzył. Kto nie osądza wsi polskiej z poza zielonego stolika, ale zna warunki życia wieśniaczego, ten pamiętać będzie o tem, że dzieci wiejskie uczęszczają do szkoły codziennie przez cały rok jedynie w 4-rech pierwszych latach nauki; wówczas rodzice wprost napędzają je do szkoły i radzi są, że na chwilę pozbędą się ich z domu jako zawadzających. Podkreślamy ten fakt ponownie.

Z drugiej strony doświadczenie życiowe uczy, a badania pedologiczne potwierdzają, że chłopiec dopiero w 15-tym roku życia zaczyna myśleć samodzielnie i szukać odpowiedzi na różne zagadnienia życiowe. Niestety niema mu kto owych odpowiedzi udzielić, bo szkoła ludowa jest już dlań zamknięta; często tedy pada ofiarą uwodzicieli. Przed stu laty żalił się już nasz Śniadecki na fakt, że rozumujemy wiele z dziećmi w latach, kiedy one nie są zdolne do samodzielnego myślenia, a nie uczymy ich wtenczas, gdy one łakną i szukają nauki. Jakoż te narody posunęły najwyżej oświatę ludu, które zorganizowały i przeprowadzają konsekwentnie dokształcanie młodzieży męskiej i żeńskiej. W Stanach Zjednoczonych dokonywują tego settlementy, w Szwecji i Norwegji liczne uniwersytety ludowe. U nas trzeba jeszcze pracy kilku pokoleń, zanim ogół dojrzeje do zrozumienia i wykorzystania instytucyj tego rodzaju; na razie musimy zorganizować dokształcanie obowiązkowe, przymusowe.

Licząc się ze wspomnianemi potrzebami gospodarstwa wiejskiego z jednej, a z prawami rozwoju dusz dziecięcych z drugiej strony, należy w mniejszych wsiach całoroczną naukę codzienną ograniczyć do *czterech lat*, a natomiast we wszystkich szkołach ludowych, czyli powszechnych, zaprowadzić *dziesięcioletni obowiązek* uczęszczania do szkoły w ten sposób, by uczniowie starsi uczyli się codziennie, ale tylko w pięciu miesiącach zimowych: od 8-go listopada do 8-go kwietnia. Kto ukończy szkołę siedmioklasową, a nie uda się do szkoły średniej lub fachowej, niech chodzi do szkoły powszechnej obowiązkowo jeszcze przez trzy zimy; kto ukończył tylko cztery lata nauki całorocznej, obowiązany będzie uczyć się jeszcze przez sześć zim. Gospodarstwo może w zimie obejść się wybornie bez całodziennej pomocy młodzieży, a rodzice cieszyć się będą, że wyrostki zajmą się nauką, zamiast wałęsać się z nudów niewiadomo gdzie i kłócić się z rodzicami. Zajęcie w szkole wraz z pamięciowemi i pisemnemi wypracowaniami domowemi zapobiegnie najskuteczniej bezczynności i demoralizacji młodzieży i może liczyć na chętne poparcie rodziców. Nauka taka utrwali owoce nauki całorocznej z lat poprzednich, rozszerzy znacznie wiedzę uczniów, w kierunku zwłaszcza rolniczym i obywatelskim, pogłębi wykształcenie ogólne, a temsamem obudzi wśród młodzieży zamiłowanie ku książce i ku samodzielnemu kształceniu się dalszemu. Korzyści z takiego urządzenia szkół są tak rozliczne widoczne, iż posłowie nasi powinni zająć się tą sprawą całą duszą i nie ustawać w zabiegach, a ową reformę przeprowadzą. Gminy wiejskie, które pojmują uży-

---

w człowieku i społeczeństwie źródło życia duchowego, zdrowia i jedności. Tymczasem nauka i doświadczenie życiowe wykazują fałsz ich formuły. Fałszywą jest formułka socjalistyczna, kłamliwą, przewrotną, ponieważ za tą formułką, niby szyld wywieszaną dla obałamucenia naiwnych ludzi, socjaliści ukrywają nieprzejednaną wrogość względem religji, zwłaszcza katolickiej. By przekonać się o tem, zobaczmy, jakim w praktyce jest stosunek do religji przywódców ruchu czerwonego tudzież organizacyj socjalistycznych w innych krajach i u nas.

D. c. n.





teczność takiej reformy szkół, niechaj ślą zaraz i ponawiają petycje w tej sprawie do rządu i do posłów.

Czy jednak owa reforma da się przeprowadzić wobec znanego braku nauczycieli i braku funduszów? Sądzimy, że tak, jeżeli do rzeczy zabierzemy się roztropnie. Najtrudniej przedstawia się sprawa tam, gdzie jest jeden tylko nauczyciel. Obowiązany on jest do 30 godzin tygodniowo bez dopłaty. Jeśli przyjmiemy na religję po 2 godziny tygodniowo na trzech stopniach nauki: elementarnym (1 i 2-gi rok); średnim (3 i 4-ty rok) i wyższym, otrzymamy tygodniowo 6 godzin, co dodane do wspomnianych 30 godzin, czyni 36 godzin, czyli po 6 godzin dziennie. Wystarczy to zupełnie, jeśli pierwsze 2 godziny przeznaczymy dla wyrostków (dwa oddziały wspólnie, każdy po 3 lata nauki), drugie dwie dla malców 1-go i 2-go roku nauki. a trzecie dwie godziny dla 3-go i 4-go roku nauki. Gdzie księdza zastąpi nauczyciel, tam należeć się mu będzie odpowiednia dopłata, ale nie obciąży to zbytnio skarbu państwa. Oczywiście w pięciu miesiącach letnich uczyć będzie nauczyciel dziatwę czterech niższych lat nauki w dotychczasowym pełnym wymiarze godzin. Na niedzielę radzimy nie przeznaczać lekcyj, by nie pobudzać nauczycieli do biernego oporu; wszak i oni są ludźmi i chcą przynajmniej niedzielę popołudniu mieć swobodną, by wytchnąć nieco po pracy. Natomiast dobrze będzie oddawać wyrostków pod opiekę w niedzielę popołudniu chrześcijańskim Związkom młodzieży, gdzie pod opieką księdza lub uproszonego wychowawcy zajmie się młodzież harcerstwem, zabawami godziwemi, przedstawieniami amatorskiemi i t. p. Najstarsi mogą bywać na zebraniach Kółek rolniczych i Spółek miejscowych jako praktykanci, a nawet pomagać tam w pracy. Młodym to pochlebi, bo będzie dowodem uznania ich dojrzałości, a odciągnie ich teraz i na przyszłość od zabaw karczemnych, obudzi w nich zapał szlachetny i skieruje ich energję ku pracy użytecznej i kształcącej.

Gdzie jest 2 nauczycieli, do czego z czasem dojdzie w każdej gminie, rozdzieli się wyrostków według płci. Przy większej ilości nauczycieli odda się innemu nauczycielowi oddział niższy (5, 6, 7-my rok nauki), innemu zaś wyższy (8, 9, 10-ty rok nauki) i powiększy się nieco ilość godzin i rozmiary nauki. Widzimy przeto, że trudności zasadniczych niema żadnych.

Niechże wszyscy, którym oświata ludu i pomyślny rozwój Ojczyzny leżą na sercu, rozważą bliżej tę sprawę i zajmą się wytrwale jej wprowadzeniem w życie. Będzie to najlepszem wywdzięczeniem się Bogu za wolną Polskę i stwierdzeniem przed całym światem, że chcemy i umiemy budować przyszłość Polski na szerokich a zdrowych podstawach demokratycznych.

X. W. Gadowski.

Bolszewicka ofensywa i strajkowa.

Od niedawna jesteśmy świadkami niezwykłego, a wysoce charakterystycznego zbiegu wypadków.

Wiadomo, że bolszewicy zwrócili się do rządu polskiego z propozycją „pokojową" i poparli ją odezwą do narodu polskiego. Rząd polski rozpoczął prace przygotowawcze i konferuje z delegatami Łotwy, Finlandji i Rumunji. Prace te się przewlekły, bolszewicy więc są w obawie, że ich pomyślna sytuacja wojskowa się zachwieje, perspektywa handlu z Europą upadnie i że znów może im grozić niebezpieczeństwo. Zatem przyśpieszenie zawarcia pokoju jest dla nich rzeczą konieczną, P. Patek jednak mimowoli zwleka — nadzieja na rychły pokój zachwiana.

Jeszcze u nas nienajgorzej...

Od jednego z przemysłowców polskich, który udał się do Turcji po zakup surowców dla kierowanej przez siebie tkalni, rodzina otrzymała obszerny list, opisujący zarówno warunki podróży, jak i stosunki w stolicy Turcji. Ponieważ wiadomości te niepozbawione są ogólniejszego interesu, podajemy więc na tem miejscu najcharakterystyczniejsze ustępy z rzeczonego pisma.

Konstantynopol, w styczniu.

Drogę z Warszawy do Lwowa mieliśmy bardzo wygodną. Do Lwowa przybyliśmy około 2-ej po południu. Wszędzie widoczne ślady zeszłorocznych walk z Ukraińcami. Niezbyt jednak wiele czasu mieliśmy na zwiedzanie miasta, bo już o 8-ej wieczorem wypadło ruszyć w dalszą drogę.

Dzięki stosunkom, posiadanym we Lwowie przez jednego z naszego grona, dostaliśmy oddzielny dla siebie przedział, a choć nie posiadał ani oświetlenia, ani ogrzewania, nie sarkaliśmy zbytnio, widząc tłok panujący i mając przeświadczenie, iż siedzimy wreszcie w wagonie bezpośredniej komunikacji z Bukaresztem. O spaniu nie było mowy. Oprócz innych warunków nie sprzyjał temu ośmiostopniowy mróz, który i w przedziale rozpościerał swe panowanie. Szczęście, że zabraliśmy z sobą świeczkę i prowjanty; pierwsza rozpraszała mroki, drugie znakomicie skrócały nudę długich godzin bezsennej nocnej podróży. I wszystko było we względnym porządku do godziny 6-ej rano, to jest do chwili przyjazdu na stację w Kołomyi, gdzie musieliśmy opuścić wagon i... czekać na następny pociąg. Dlaczego?

Bo władze nasze—z niezrozumiałych powodów—nie uznały za właściwe dokonywać sprawdzania paszportów na stacji podczas postoju pociągu, lecz zmusza się pasażerów do przerywania podróży i—mróz czy szaruga—do spaceru dwuwiorstowego poto jedynie, by w urzędzie, znajdującym się w samem mieście, jakiś szeregowiec przyłożył pieczątkę na paszporcie. Oburzeni takiem lekceważeniem czasu i wygody pasażerów nie byliśmy nawet usposobieni do podziwiania ładnego położenia Kołomyi wśród wzgórz malowniczych.

Po zmarnowaniu dziesięciu godzin czasu, o czwartej po południu ruszamy w dalszą podróż. O 6-ej zatrzymujemy się w Śniatynie, ostatniej polskiej stacji pogranicznej. Znów oględziny paszportów i rewizja bagaży. Rewident żyd tak manipulował, że widoczna była chęć otrzymania łapówki—ale na chęciach osobistych musiał poprzestać.

Po godzinie ruszamy przez granicę i po kilkunastu minutach stajemy w Niepokołowcach, pierwszej stacji po stronie rumuńskiej. Nowa rewizja, bardzo na-

Z sukursem bolszewikom przychodzi P. P. S., rozpoczynając namiętną agitację za pokojem. Nie odnosi to jednak skutku, gdyż partja wpływy w masach straciła. Zrozpaczeni bolszewicy postanawiają chwycić się innego środka. Bodaj wszystko rzucić na szalę, wszystkiem zaryzykować, a nuż w ten sposób uda się coś uzyskać. Trzeba się uciec do strajków robotniczych, zdezorganizować powstające zaledwie życie gospodarcze i tem wymóc pokój pożądany.

Nadarza się okazja — strajk robotników fabryk metalowych. Trzeba ich poprzeć i szeregi próżnujących powiększyć. W tym celu, pod grozą cofnięcia kredytów i wyparcia się wszelkiej łączności, bolszewicy rosyjscy każą swoim w Polsce agentom wywołać strajk generalny. Przystąpiono więc z zapałem do roboty. W stolicy ni stąd ni z owąd, jakoby dla poparcia metalowców, stanęły pewnego pięknego dnia wszystkie zakłady użyteczności publicznej: tramwaje, gazownia, elektrownia i wodociągi.

Należy zwrócić uwagę, że „protestacyjny“ strajk w zakładach użyteczności publicznej wywołany był i przeprowadzony własnemi siłami miejscowych bolszewików, bez udziału pepeesów. To rzecz arcyważna. Tu mamy klucz do rozwiązania przyszłych wydarzeń. P. P. S., zaskoczona strajkiem, drży o malejące wpływy w masach i zaczyna wlec się w ogonie bolszewickim.

W tym czasie kończy się strajk metalowców, elektrownia zostaje zmilitaryzowana, sami robotnicy po zorjentowaniu się w sytuacji podejmują pracę i o możność przystąpienia do niej toczą formalne bójki z nielicznymi agitatorami—wszystko więc napozór ma się ku końcowi.

Atoli pozostaje sprawa militaryzacji elektrowni i... utraconych wpływów P. P. S. Trzeba się ratować. W tym celu P. P. S. podejmuje w dalszym ciągu akcję iście bolszewicką, prowadząc wobec rządu politykę szantażu, przekonywując go, że od niej zależy utrzymanie w karbach „fali rewolucyjnej“, i żądając wzamian odwołania militaryzacji i wszystkich represyj przeciwko uczestnikom strajku“. Gdyby Rząd odmówił — grozi strajkiem powszechnym, co pepesowska Rada Delegatów Robotniczych uchwala skwapliwie. Ponieważ narazie P. P. S. spóźniła się i strajk protestacyjny wybuchł bez jej zgody, przeto teraz chce powetować przegraną przez powtórzenie tego samego, lecz pod swoim sztandarem i rozpoczęła w tym celu licytację z miejscowymi komunistami, ku pożytkowi Trockiego i „pour le roi de Prusse“.

W czasie, kiedy posłowie socjalistyczni konferują z p. Skulskim, socjalistyczny Związek kolejowców na poufnem posiedzeniu motywuje decyzję przyłączenia się do strajku powszechnego potrzebą zatrzymania kolei, aby nie dopuścić do przesyłania wojska na front bolszewicki. Tego samego dnia czytamy skargę bolszewików do Europy, że Polska nie zawiera pokoju, lecz zwycięskie nad nimi odnosi sukcesy. Bolszewicy zatem oddziaływują na Polskę z zewnątrz, pepeesi od wewnątrz — jedni i drudzy poza doraźnemi korzyściami mają jeden cel na widoku—pokój z bolszewikami.

Wysiłek bolszewików spełźnie na niczem, pepeesi jednak poratowali swe niknące wpływy. Rząd postanowił znieść militaryzację elektrowni, zasadniczo więc ze swego stanowiska ustąpił, a socjaliści swój cel— zniesienie militaryzacji — osiągnęli. Zobowiązali się wprawdzie „dążyć” do niewywoływania strajków w zakładach użyteczności publicznej do chwili wydania przez Sejm ustawy o załatwianiu zatargów zbiorowych w zakładach tej kategorji, jednak ze swego zasadniczego żądania nie skwitowali i swego dopięli. Fakt pozostanie faktem — rząd ustąpił — i nie pod wpływem Sejmu, który z wyjątkiem zainteresowanych był przeciw strajkowi i zniesieniu militaryzacji, lecz pod wpływem socjalistycznego szantażu, dając tem

---

wet szczegółowa. Niektórym podejrzanym żydom kazali się rozbierać niemal do naga. Nas potraktowano względnie; myśleliśmy początkowo, że to respekt dla „misji polskiej“, za jaką ogólnie po drodze grupkę naszą brano. Niebawem iluzja prysła: oto poprostu spodziewano się poważniejszej łapówki, a kiedy zobaczyli, że nie poznajemy się na rzeczy, to tak zaczęli marudzić z dalszem wyekspedjowaniem naszych kufrów, że dla uniknięcia nowej bezcelowej przerwy w podróży musieliśmy dać kilkaset marek pseudo-napiwku, a widać nie wszyscy jeszcze wydrwigrosze czuli się obdzieleni, bo w ostatniej chwili nie było komu wstawić kufrów do wagonu bagażowego i sami musieliśmy to zrobić, bo inaczej rzeczy zostałyby na peronie.

Żadnym językiem z tymi nicponiami rozmówić się nie można, ale jak zobaczą banknot w ręku pasażera, to wszystko na migi rozumieją.

Wreszcie jedziemy. Tłok do ostatecznych granic. Mamy miejsca w pierwszej klasie, ale publiczność gorsza, niż u nas w trzeciej. Brudno tedy w wagonach do niemożliwości. Przeciąg z powodu braku okien i ciemno. Na dokładkę wygód—biletów nie sprzedają wprost do Bukaresztu lecz dopiero co kilka stacyj trzeba nabywać nowe. Ma to być—podobno—wynikiem braku odpowiednich biletów gotowych, a na nas robi wrażenie, jakby zarząd kolei szedł na rękę swoim funkcjonarjuszom w wyzyskiwaniu pasażerów. Mowy bowiem niema, by na którejkolwiek stacji pasażer mógł się dotłoczyć do kasy i następnie dostać do swego miejsca w wagonie. Trzeba się więc w zakupie biletów wyręczać konduktorami, którzy ciągną znaczne zyski z tego nabywania biletów dla pasażerów.

Zmordowani, zziębnięci dostajemy się o 12-ej w nocy do Bukaresztu. Na stacji dowiadujemy się, że hotele wszystkie w mieście zajęte. Rezygnujemy tedy z zatrzymania się w stolicy Rumunji i czekamy na stacji do 7-ej rano, o której to godzinie ma odejść pociąg do Konstancy. Poczekalnie na dworcu w nocy zamknięte, całe szczęście, że udało nam się wprosić do biura komendy wojskowej, gdzie przesiedzieliśmy do rana.

Zaczynamy się wreszcie zbierać do dalszej drogi, aż tu na pół godziny przed odejściem pociągu mówią nam, że dopiero będziemy mogli pojechać na drugi dzień.

— Co? dlaczego?

— Rzeczy musi przejrzeć urzędnik z komory, który przychodzi do zajęcia o 9-ej rano, to jest akurat w dwie godziny po odejściu pociągu według rozkładu kolejowego. Zaczyna się bieganie od Annasza do Kaifasza; wszyscy odprawiają nas z niczem, wszędzie stanowcza spotyka nas odmowa i... dopiero na 5 minut przed naznaczoną do odejścia godziną 500 marek momentalnie usunęło wszelkie przeszkody i znów znaleźliśmy się w pociągu. Ale mija 7-a, 8-a, 9-a—ciągle stoimy.

— Cóż do licha za porządki!

Okazuje się, że się popsuła lokomotywa, zapasowej brak, więc trzeba czekać aż uszkodzenie zostanie naprawione. Stało się to ledwie koło pierwszej po południu i nareszcie ruszamy.

dowód swej słabości i rażącej niekonsekwencji. A więc socjaliści w opinji mas wyszli zwycięsko i swoje niknące wpływy wzmocnili.

Z tego nowego położenia nie omieszkają oni z pewnością w niedalekiej przyszłości skorzystać i w razie, jeżeli projektowana ustawa wyda im się w czemś nieodpowiednią, lub wprost dla interesów partyjnych lub bolszewickich niepożądaną, rozpoczną nowe ataki. Jeżeli nawet P. P. S. sama nie będzie dążyła przez strajki do pokoju z Rosją, to wystąpienia komunistów miejscowych znów skłonią ją do licytacji z współzawodnikami, szantażowania rządu i społeczeństwa.

Nieudana obecnie ofensywa strajkowa, może być podjęta w niedalekiej przyszłości. Stąd akcja Stowarzyszenia Samoobrony Społecznej i innych nie może być zwinięta, lecz powinna być ciągła, systematyczna i zawsze do ofiarnego czynu gotowa.

J. L.

Z tygodnia.

Losy wojsk polskich na Syberji. Od dłuższego już czasu dochodziły do nas pogłoski o nader krytycznej sytuacji, w jakiej znalazły się wojska polskiej dywizji syberyjskiej po klęsce Kołczaka. O jakichkolwiek jednak krokach i zarządzeniach naszego Rządu w celu uratowania tych wojsk jakoś zupełnie nie było słychać, pomimo ustawicznych nawoływań prasy wszystkich obozów i złożonych Sejmowi wniosków w tej sprawie. Czyż rzeczywiście w ciągu niemal roku nic nie można było uczynić w celu przerzucenia dywizji na wschód, dajmy na to, do Władywostoku, i stopniowego przewiezienia jej okrętami koalicyjnemi? O takich staraniach naszego Rządu, powtarzamy, było zupełnie głucho, gdy tymczasem Czesi, jak wiadomo, rozwinęli nader energiczną akcję w celu przewiezienia swoich wojsk i zdaje się osiągnęli pożądany skutek, zawierając odpowiednią umowę z Japonją. Z naszej strony ograniczono się do wysłania po bardzo długich namysłach spóźnionej misji do Kołczaka, która, o ile wiadomo, nie dała o sobie znaku życia.

W ostatnich dniach polski Czerwony Krzyż otrzymał wiadomość iż dywizja syberyjska dostała się do niewoli bolszewickiej. Położenie jeńców jest wprost straszne: z powodu braku odzieży i pożywienia w szeregach ich szerzy się tyfus i inne epidemje, połowa chorych umiera. Jednocześnie w drodze prywatnej bolszewicy dali do zrozumienia, że zwolnią tych jeńców, o ile Rząd polski zgodzi się na uwolnienie 40 tysięcy bolszewików wziętych do niewoli. Wobec tej propozycji Rząd nasz powinien wreszcie zdobyć się na szybką i stanowczą akcję dla ocalenia choćby resztek naszych bohaterów i męczenników z dywizji syberyjskiej i niezwłocznie przedsięwziąć kroki w celu jak najrychlejszego uskutecznienia wymiany ich za zupełnie zbytecznych nam bolszewików, których musimy żywić i strzec, aby nie szerzyli tu swej propagandy.

Do przeprowadzenia wymiany należy przystąpić niezwłocznie i energicznie, powierzając ją ludziom, mającym poczucie obowiązku i patrjotyzmu, nie zaś bezdusznym biurokratom i karjerowiczom, którzy w takich przedsięwzięciach lubią się wysuwać na czoło. Sądząc bowiem z mętnego komunikatu w pismach, który zapowiada, iż w sprawie tej (t. j. wymiany jeńców), przedstawiciele polskiego Czerwonego Krzyża mają zasięgnąć (kiedy?) konkretnych (!) danych, aby powziąć (dopiero!) odnośne uchwały"—można się obawiać że sprawa będzie prowadzona ze zwykłem u nas, a w danym razie więcej niż karygodnem, niedbalstwem i niedołęstwem.

Koło 9-ej wieczorem zatrzymujemy się na małej stacyjce, w gołym stepie, niedaleko Dunaju i oświadczają nam, że tu będziemy nocowali. Nowe dopytywania się: dlaczego?

Przyczyna tym razem racjonalniejsza: most na Dunaju zniszczyli Bułgarzy podczas wojny, skutkiem czego dla pociągów skonstruowano coś w rodzaju mostu pontonowego. A ponieważ w tym prowizorycznym moście coś się popsuło, więc, by pociemku pociąg nie wjechał czasem do wody, słusznie zaordynowano czekanie do rana. Całonocne siedzenie w brudnym i ciemnym wagonie mało nas nęci. Na zmianę dla pewności dyżurujemy przy rzeczach, a pozostali siedzą w sali bufetowej na dworcu. Brudno w niej okrutnie, ale zawsze mniej zimno, niż w wagonie i jakie takie światło. Około jedenastej bufetowy oświadcza, że dla naszej przyjemności nie myśli sobie nocy marnować: chce nas wyprosić na peron, bufet zamknąć i iść spać do domu. Robi się awantura. Pasażerowie stawiają się ostro, a że byli dość liczni, więc koniec końców liczba zwycięża. Nie tylko tedy zostajemy na całą noc w bufecie, ale nawet za składkowe pieniądze możemy kazać napalić w piecu i dostajemy jakąś imitację herbaty, ugotowanej w garnku po kapuście, po bardzo „przystępnej cenie" 4 marki za filiżankę.

Siedzimy tedy w tej mizernej norze przy tej jeszcze mizerniejszej herbacie i wspominamy nasze porządki kolejowe, na które w kraju tak się mocno nieraz sarkało, a które jednak o całe niebo wyżej stoją od tego, co w podróży widzieliśmy i doświadczyliśmy. Słowem, dochodzimy do przekonania, iż w Polsce jeszcze się nienajgorzej dzieje.

Wreszcie świt. Przejeżdżamy Dunaj po moście, którego podstawę stanowi kilkadziesiąt statków, stojących jeden od drugiego co jakie 8 łokci.

Dalej droga prowadzi przez monotonny step, w drobnej zaledwie części uprawiany pod kukurydzę, a bardzo rzadko trafiają się małe poletka oziminy. Objaśniają nas, że są to skutki reformy rolnej, wprowadzonej w Rumunji na sposób podobny do uchwalonego u nas. Wynik tego taki, że włościanie obsieli tyle tylko, ile każdy uważał za niezbędne dla siebie i swej rodziny, a resztę pozostawiono odłogiem.

Koło południa krajobraz zaczyna się ożywiać, ukazują się wzgórza, między niemi wilgotne wąwozy, porosłe wysoką na kilka łokci trzciną, zapowiadającą bliskość morza. Zwracają uwagę wsie muzułmańskie z meczetami i maleńkiemi minaretami—ale niebawem cała nasza uwaga skupiła się w jednym przedewszystkiem kierunku: oto na widnokręgu ukazała się płaszczyzna morza Czarnego i ładnie położona na pagórkach Konstanca.

Z westchnieniem ulgi opuszczamy wagon rumuńskiej kolei i, ponieważ okręt z Galaczu spodziewany był dopiero nazajutrz, udajemy się do hotelu. Rzeczy nasze jadą na wózku, zaprzężonym w osła. Taki sam pojazd kufry z próbami wiezie na komorę.

Hotele w Konstancy okropnie marne, jedzenie jeszcze marniejsze, a natomiast pięć razy droższe niż u nas w Warszawie.

Formalności na komorach rumuńskich pełne są

Urzędnicy niemieccy. Na mocy układu pomiędzy Rządem polskim i niemieckim pewna ilość urzędników niemieckich w Wielkopolsce pozostała na swych posadach do d. 1 kwietnia r. b,, obecnie zaś rozpoczęto układy w celu pozostawienia Niemców na ich urzędach jeszcze na czas pewien. Przy tej okazji władze i prasa niemiecka zajęły takie stanowisko, jak gdyby, przystając na dalsze pozostawienie urzędników, świadczyły nam wielką łaskę i dlatego żądają za to najrozmaitszych ustępstw i kompensat. Takie przekonanie Niemców jest zupełnie mylne, a stawiane przez nich warunki świadczą tylko o bezmiernej arogancji teutońskiej. Faktem jest natomiast, iż urzędnik niemiecki co dzień, co godzina prawie jest coraz mniej użyteczny; liczba polskich urzędników coraz się zwiększa, ustaw i rozporządzeń polskich mamy coraz więcej, zastosowanie polskiego prawodawstwa coraz szersze; urzędnik niemiecki z natury rzeczy staje się do pracy w nowych warunkach coraz mniej przydatny, Urzędnik niemiecki był dla nas tylko pewnem ułatwieniem, natomiast pozostawienie go nadal w Wielkopolsce byłoby, tak dla niego jak i dla rządu niemieckiego dobrodziejstwem, gdyż w Niemczech czeka go głód i chłód, a rząd berliński i tak już nie wie, co ma robić z bezrobotnymi urzędnikami z Alzacji, kolonij, Szlezwiku i innych ziem plebiscytowych. Rząd zaś nasz i jego organa zastempcze w Wielkopolsce powinny raczej dobrze się namyślić, czy można wogóle pozostawiać nadal tak wrogie nam żywioły na odpowiedzialnych stanowiskach urzędniczych w Wielkopolsce, czy raczej nie lepiejby było mieć tam ludzi, być może mniej rutynowanych, lecz oddanych sobie patrjotów, zamiast rutynowanych szpiegów i wrogów państwowości polskiej, których dotychczas drogo opłaca z polskiej kieszeni?

Mimowoli nasuwa się tu refleksja: jak różną miarką mierzy się u nas interesy poszczególnych dzielnic państwa. W Wielkopolsce o posiadanie urzędnika wyszkolonego na miejscu i obeznanego z miejscowemi ustawami dba się aż do tego stopnia, że zabiega się u wrogiego rządu o pozostawienie na urzędach notorycznych wrogów państwa Polskiego. Jednocześnie w b. Kongresówce wszystkie niemal wyższe i większość niższych urzędów zajmują ludzie wyszkoleni gdzieindziej i zupełnie nieobeznani z miejscowemi prawami i stosunkami, i to nikogo nie razi, owszem tylko ta kategorja biurokracji jest popierana i faworyzowana.

Ten smutny przykład Kongresówki do pewnego stopnia usprawiedliwia Wielkopolskę, która, widząc chaos, jaki wytwarzają u nas niedołężni biurokraci importowani, stara się wszelkiemi sposobami obronić przed ich usługami.

(Ad.).

Siódma godzina.

Kabalistyczna siódemka w literaturze starożytnego Wschodu miała, jak wiadomo, jakieś szczególnie tajemnicze znaczenie. Ilekroć występuje tam jakiś tajemniczy potwór, napewno ma siedem rogów, lub siedem ognistych języków, czy też innych części składowych organizmu zwierzęcego. W cyfrze tej kryły się ongiś zagadki Wschodu, przystępne tylko wtajemniczonym wychowankom świątyń Ozyrisa. Dziś owe szyfry świątyniowe zanikły—został tylko po nich martwy, mglisty znak zapytania, nad którego rozwiązaniem nie jedna biedzi się łysa głowa.

Polski świat urzędniczy, tknięty prądem wewnętrznych drgnień ambicji, wdział na się dobrowolnie kabalistyczną obroże o siedmiu kolcach. Sam „rzekomo" prosił o nią...

---

tajemniczych powikłań, znajdujących jednak zawsze łatwe rozwiązanie po opróżnieniu należytem kieszeni nieszczęsnego interesanta. Nieinaczej rzecz się odbyła i w Konstancy. Przytem stale wszelakie szykany w celu skuteczniejszego nacisku na kieszeń stosowane są z premedytacją w ostatniej chwili wyjazdu. A wobec dylematu: albo dasz tyle i tyle, albo nie pojedziesz dzisiaj, każdy ustępuje i... daje.

Po szczęśliwem „przezwyciężeniu" wszelkich przeszkód, o godzinie 4-ej po południu znajdujemy się wreszcie na okręcie „Król Karol". Za bilet do Konstantynopola i marną kajutę kazano nam zapłacić po 1400 marek od osoby.

W samym Konstantynopolu drożyzna jeszcze większa. Wobec braku miejsca w hotelach lepszych, musieliśmy narazie ulokować się w hotelu trzeciorzędnym, gdzie za pokój o trzech łóżkach (każde inne) bez żadnych absolutnie wygód kazano nam sobie płacić po 6 funtów, to jest po 600 marek za dobę. Napalenie w piecu liczą oddzielnie 100 marek; obiad w restauracji przeciętnie 200 marek na osobę, przytem jedzenie niżej krytyki.

Dla całokształtu pojęcia o tureckiej drożyźnie przytaczam jeszcze kilka przykładów: oczyszczenie butów na ulicy—5 mk., ostrzyżenie i ogolenie—80 marek, kurs dorożką—200—300 marek, pudełko zapałek półtorej marki, kurs tramwajem od 3 do 8 marek, funt marnego mięsa wraz z kośćmi 30—35 marek, najgorsza szklanka 25 marek. Najtańsze jeszcze stosunkowo są towary łokciowe i bielizna, których to wyrobów moc nawieziono z Zachodu, lecz i tych cena w detalu dwa razy wyższa niż u nas.

Co do stosunków miejscowych w Konstantynopolu pod innemi względami, to poza tureckim najłatwiej tu się porozumieć z pomocą języka francuskiego i na ulicy wśród innych obcych języków najczęściej go się słyszy. Rzadko natomiast słychać mowę niemiecką, bo choć—jak się przekonałem—sporo osób zna ten język, to jednak obecnie w stolicy Turcji, po przegranej wojnie, mówić po niemiecku nie... wypada.

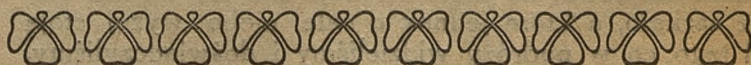
Na surowce, które może dostarczyć Turcja naszemu przemysłowi winno się u nas zwrócić baczniejszą uwagę. Dotychczas tylko Ameryka i państwa Europy Zachodniej intensywnie w Turcji czynią zakupy, skutecznie ubiegając wszystkie inne państwa.

List ten dojdzie do kraju z opóźnieniem, bo sekretarz naszego Towarzystwa, który miał go zawieźć, musiał odłożyć swój wyjazd z racji przerwy w ruchu parostatków na linji Konstantynopol—Konstanca—Galacz, wywołanej brakiem... opału.

Koniec końców konkluzja jedna: jeszcze u nas nie jest najgorzej...

(s.).





Dobrze, niechaj będzie.

Są pewne chwile szczególniejszych napięć uczuciowych, wobec których najczarniejszy pesymista pochylić musi kornie głowę. Albowiem tam, gdzie się zaczyna szlachetna ofiara, tam z natury rzeczy kończyć się musi zimna gra rozumowych rozstrząsań.

Dziś, w chwili gorączkowego budowania Ojczyzny, można od wielu oczekiwać, a nawet wymagać wysokich napięć uczuciowych. W łagodną, dyszącą życiem i pełnią młodości noc czerwcową muszą tu i owdzie świecić świętojańskie robaczki—boć od tego właśnie istnieje ta cudna, pełna tajemniczych westchnień noc Św, Jana. Dziwić się temu nie można — przeciwnie, należałoby się raczej dziwić, gdyby było inaczej.

W danym wypadku idzie tylko o to, czy naprawdę stoimy wobec szlachetnej ofiary, wykluczającej wszelkie rozumowe rozstrząsania? I czy naprawdę kabalistyczna siódemka była tym razem potrzebna?

Otóż przedewszystkiem w całej tej sprawie uderza niemile fakt łączenia podwyżki godzin urzędowych z podwyżką poborów służbowych. Bo, choćby się nie chciało, przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że z za kulis tego pięknego urzędniczego i sejmowego gestu przeziera mały kupiecki handelek: „My wam to—a wy nam to". I już!... Obie strony zadowolone.., oczywiście zadowolone akurat na całe dwa tygodnie.

O ile piękniej, o ile bardziej po męsku przedstawiałaby się sprawa, gdyby polski świat urzędniczy pewnego dnia stanął był przed Sejmem i powiedział ustami swych przedstawicieli:

„Wysoki Sejmie! Widzimy, że w nowej Polsce dzieje się źle: leniwiec siedzi na leniwcu i leniwcem pogania. Stąd głód, wrzaskliwe ceny produktów, brak wszelkich zapasów. Aby ukrócić to wstrętne lenistwo, my, elita społeczeństwa, oświadczamy tu, przed wami, wybrańcami narodu, że choć już obecnie przeciążeni pracą, przecież dla przykładu, dla zachęty, dorzucamy siódmą godzinę do naszej dziennej roboty"

W takiem oświadczeniu byłaby prawdziwa ofiara, byłby piękny gest i wysokie napięcie uczuciowe, przed którem należałoby pochylić czoła.

Nie mniej po męsku wyglądałoby, gdyby wybrańcy świata urzędniczego stanęli byli przed Sejmem kiedyindziej i oświadczyli krótko:

„Z obecnych dochodów wyżyć i odziać się nie możemy; domagamy się w imię sprawiedliwości poprawy bytu. Patrzcie, co się dzieje i sądźcie sami".

Obie deklaracje nosiłyby na sobie piętno szczerości i oddzielnie traktowane byłyby zupełnie poprawne. Lecz łączenie obu w nierozdzielny węzeł układów, przy których jedna strona grozi cichym pomrukiem strajku, a druga rewizją biur i usunięciem zbędnych jednostek, tudzież nakazami o wzmożonej kontroli nad pilniejszem przestrzeganiem godzin urzędowych—takie łączenie obu tych spraw „junctimowym" węzłem jest niesmaczne, kupieckie, małostkowe i nie pochlebia ani dającym, ani biorącym.

Sejm powinien był bez wszelkich zastrzeżeń i pouczeń o pilnem spełnianiu obowiązków dać światu urzędniczemu to, co mu jest do życia niezbędne—przedewszystkiem zaś powinien był postarać się dlań o ziemniaki, mąkę, mięso i węgle lub drzewo w naturze — a świat urzędniczy nie powinien był występować z wnioskiem rewanżu ze swej strony, wzamian za otrzymane „dobrodziejstwo". Ta deklaracja rewanżowa bowiem wprost ubliża światu urzędniczemu. Dziś każdy Polak powinien na ołtarzu dobra ogółu składać tyle pracy, ile tylko złożyć może, na ile go sił starczy. Jeżeli zaś ktoś oświadcza, że dorzuci coś do swych codziennych zajęć, o ile to a to otrzyma—w takim razie przyznaje się tem samem, że dotąd oszczędzał się po kupiecku. liczył swój wysiłek obywatelski na łuty, czy gramy, a nie dawał całego siebie.

Tak być nie powinno.

Urzędnik nie powinien pracować godzin siedem dziennie, tylko *sześć*, ale tych sześć godzin pracować powinien *naprawdę!*

Decydującą sprawą nie będzie tu ilość godzin biurowych, tylko żarliwa praca, z duszy urzędnika „*naprawdę*" wydawana. Ci, co znają życie biurokratyczne, wiedzą dobrze, jaka olbrzymia różnica zachodzi między pracą, podczas której „odsiaduje się godzinki" przy urzędowem biurku, a pracą pełną zapału i poczucia godnego czynu.

Urzędnik-obywatel, jeżeli swoich sześć godzin dziennie wypełni energicznym i celowym wysiłkiem, jeżeli cnym przykładem zachęci swe otoczenie do podobnego wysiłku, już napewno przysłuży się uczciwie swej Ojczyźnie, nie będzie miał żadnych zaległości i zapracuje sobie godnie na kęs powszedniego chleba. Nie trzeba przesady: siódma godzina biurowej pracy jest martwą i bezcelową. Prowadzi ona tylko do nudy, zniechęcenia i anemicznej neurastenji, nie mówiąc już o tem, że zabija wśród kwiatu społeczeństwa wszelką chęć do nadobowiązkowej pracy społecznej i obywatelskiej w godzinach wieczornych. Fortepjaniści, którzy zbyt długo w ciągu dnia oddają się ćwiczeniom palcówkowym, często popadają w paraliż nerwów muskułowych i muszą zrezygnować z gry fortepjanowej. To samo stanie się prędzej czy później z wielu urzędnikami, a zwłaszcza urzędniczkami, które nie wejdą na drogę samoobrony i nie rozwodnią swej pracy biurowej pogadanką, przechadzką po salach, ziewaniem, paleniem papierosów, prostowaniem ramion i t. d.

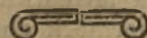
Siódma godzina w biurze, o ile ktoś traktuje ją poważnie, na serjo, stanowczo jest zabójcza i to zabójcza podwójnie: raz niszczy ona przedwcześnie organizm najpilniejszego i najchętniejszego pracownika, powtóre łatwo demoralizuje do reszty tych, którzy posiadają wrodzone ku lenistwu skłonności. Siódma godzina powinna być w interesie dobra państwa stanowczo zniesiona, gdyż nie wiedzie do zamierzonego celu i więcej szkodzi sprawie, niżeli pomaga.

Dobrze, lecz jakże wygląda wiodąca do tego celu droga właściwa?

Na to krótka odpowiedź: „Panowie szefowie!... zorganizujcie pracę swych biur tak, aby ta zostawiała każdemu z pracowników czy pracowniczek jak najwięcej samodzielności i odpowiedzialności i dawała jak najwięcej przyjemności; wyłączcie z niej wszelkie niepotrzebne ruchy i odruchy, wszelkie zbędne pociągnięcia piórem, wszelkie zbędne spacery po salach, a oszczędzicie na tem daleko więcej, niżeli jedną godzinę dziennie,—ale też z drugiej strony nie upierajcie się przy t. zw. biurowych godzinkach", bo z tych ani nie był nigdy wilk syty, ani państwo bogate. W waszych rękach spoczywa węzeł gordyjski tej sprawy; rozetnijcie go umiejętnie i prędko".

Również powinna pozostać w dawnej mocy „angielska" sobota, która po urzędach zdobyła sobie żartobliwą, a zarazem pieszczotliwą nazwę „anielskiej"... Wieczór sobotni, bodaj ten jeden wieczór w tygodniu, powinien być poświęcony pracy społecznej, a do tej należy przystępować z umysłem świeżym, wypoczętym, a nie z rozwartemi jak wrota od ziewania ustami i kwaśną od zmęczenia miną.

Kazimierz Rojan.



Jarmark Gdański.

Oczy całej Polski zwrócone są w kierunku Gdańska; i nic dziwnego, bo z portem gdańskim związane są nadzieje polaków na uczestniczenie w handlu morskim, wszechświatowym, to też gdy w ubiegłych tygodniach odbywał się w Gdańsku jarmark, społeczeństwo i prasa śledziły go z wielkiem zainteresowaniem.

Tradycja średniowiecznych jarmarków, na których załatwiano najważniejsze obroty handlowe, odżywa w naszej epoce. Do niedawna, przed wojną, mówiono tylko o Jarmarkach Lipskich, od r. 1916 wznowiono we Francji sławny ongiś Jarmark Lugduński, (Foire de Lyon), w Lutym gościł u siebie nowy jarmark Gdańsk, na lato nadchodzące zapowiedziany jest wielki jarmark w Warszawie. Jarmark Gdański odbywał się pomiędzy 18 a 25 Lutego; inicjatorzy jego postawili sobie za cel — próbę skoncentrowania w Gdańsku handlu z Polską, krajami bałtyckiemi, a w przyszłości i z Rosją. Inicjatywa jarmarku wyszła z kół niemieckich, chodziło o handel Niemiec ze Wschodem, tem też tłómaczy się stosunkowo słabe obesłanie jarmarku eksponatami polskiemi. Polskie sfery przemysłowe i handlowe dowiedziały się o jarmarku stosunkowo późno, zarząd jarmarku (Messamt) nie mógł się początkowo zdecydować. jakie stanowisko zająć względem handlu i przemysłu polskiego, tak że zaproszenia do Polski wyszły dopiero około Bożego Narodzenia, a oficjalne nawet później, bo już w styczniu roku bieżącego.

W ten sposób Polska nie miała wiele czasu na przygotowanie się do wzięcia udziału w jarmarku; tem niemniej zabrano się żywo do roboty; wszyscy mamy w pamięci piękny afisz, rozlepiony na murach Warszawy, — rozwinięto energiczną agitację, aby nie zabrakło Polski na pierwszym Gdańskim Jarmarku. Na przeszkodzie stanął jeszcze organizatorom strajk stolarski, który uniemożliwił zaprodukowanie wyrobów naszego przemysłu drzewnego, również i przemysł naftowy, zmonopolizowany dziś prawie wyłącznie w rękach Rządu, nie stawił się na jarmarku. Pomimo jednak tych przeszkód i trudności zdołano w krótkim czasie zorganizować dział polski na jarmarku; władze rządowe polskie okazały przytem dużą pomoc—zarząd kolejowy uruchomił specjalne pociągi, poczyniono ułatwienia paszportowe, przepustkowe, przewozowe i t. p.

Jak już z warunków powyższych wynika, głównie na jarmarku reprezentowany być miał handel i przemysł niemiecki. Dział polski otrzymał i co do miejsc pomieszczenie nienajlepsze, nie można jednak powiedzieć, aby był pod tym względem specjalnie źle potraktowany. Wystawców z Polski pod względem ilościowym było około stu, przytem głównie z Kongresówki, Galicja i Poznańskie reprezentowane były bardzo nielicznie.

Pod względem jakościowym z wystawców polskich zwracał na siebie uwagę przemysł łódzki, (zwłaszcza fabryka Johna), dalej wystąpili również okazale rymarze warszawscy, którzy wystawili piękne siodła i rzędy na konie, nie tylko piękne, ale i po przystępnych cenach, tak że wyroby ich nabywano chętnie, sprzedali oni eksponatów swych na sumę około 2.000,000 marek; poza powyższemi działami zasługiwały jeszcze na wzmiankę towary, wystawione przez fabryki z Bydgoszczy, warszawska konfekcja męska i damska, stalówki fabryki Wasilewskiego, nasiona, wyroby laboratorjum chemicznego Karpińskiego i inne. Co do ogólnej ilości obrotów na jarmarku, to były one niewielkie, pod tym względem jarmark chybił celu, przyczyn złożyło się na to wiele — stosunkowo niewielki udział Polski, lichy gatunek i wysoka cena eksponatów niemieckich, które podlegają w Niemczech specyficznie wysokim opłatom wywozowym, t. z. Exportzuschlag, wynoszącym od 70 do 150%, wreszcie nieuregulowane stosunki walutowe.

Zagranica, t. j. ściślej kraje z nami sprzymierzone i stowarzyszone, zawiadomione przez Polskę o jarmarku, żywo się nim zainteresowały, aczkolwiek same, jako wystawcy na jarmarku nie figurowały. Zato jako zwiedzających spotykano zwłaszcza anglików, pozatem również i francuzów, oraz neutralnych — holendrów i innych.

Sama idea jarmarku jest słuszna, stworzenie z Gdańska centrum handlowego dla handlu polskiego jest naszym celem i dążeniem, to też spodziewać się można, że następny jarmark gdański, w którym Polska bardziej czynny udział wziąć musi, wypadnie pod każdym względem okazalej i pomyślniej, przyczyniając się do zacieśnienia węzła pomiędzy Polską a Wolnem miastem Gdańskiem, które w związku z Polską odzyska dawne stanowisko wielkiego wszechświatowego portu handlowego, żyjąc z Rzeczpospolitą w tradycyjnych stosunkach wzajemnej sympatji i przyjaźni.

L. B.

POKŁOSIE.

PRASA WARSZAWSKA O PRZEWROCIE W NIEMCZECH.

Sytuacja w Niemczech, na których obecnie koncentruje się uwaga całego świata, o tyle się wyjaśniła, iż ostatnie dzienniki podały dość wyczerpującą ocenę faktów dokonanych i w miarę możności próbują snuć horoskopy na przyszłość.

Na czele nowego rządu w Berlinie stanął były dyrektor T-wa Kredytowego Ziemskiego w Królewcu dr. Kapp. Ministrem wojny został dowódca górnośląskiego Grentzschutzu gen. von Lüttwitz, wsławiony ukrutnemi represjami przeciwko powstańcom polskim. Tekę ministra spr. wewn. piastuje znany von Jagow, b. prezydent policji w Berlinie za czasów Wilhelma. Za plecami jednak Kappa i jego pomocników stoją, jak stwierdzają pisma niemieckie, b. admirał Adolf von Tirpitz i b. feldmarszałek Ludendorff. Według trafnej uwagi *Gazety Warszawskiej*, gabinet Kappa w takim składzie jest

> „zupełnie wyraźną ekspozyturą dawnej głównej kwatery niemieckiej i jej politycznego odpowiednika, wszechniemieckiego Vaterlandspartei. Ludzie, którzy objęli obecnie ster rządu w Berlinie, to ci sami, którzy dwa lata temu urządzali pochody manifestacyjne z transparentami „Boże ukarz Anglję“, którzy sławili zatopienie „Luzytanji“, jako najpiękniejszy czyn oręża niemieckiego, którzy wreszcie w imię kultury i cywilizacji zarządzali systematyczne niszczenie i palenie miast polskich, belgijskich i francuskich“.

Charakteryzując obecny stan rzeczy w Niemczech w artykule, zatytułowanym: „Czy to potrwa Sto Dni?“, *Przegląd Wieczorny* pisze:

> „Kapp, idący razem z Tirpitzem, i Tirpitz, idący razem z Kappem,—to pełny obraz położenia w Niemczech. Za nimi bowiem maszerują junkrzy, maszeruje falanga wielkich fabrykantów, znanych pod mianem „ciężkiego przemysłu“, kasta jeszcze bardziej niebezpieczna, niż junkrzy pruscy, ponieważ na poparcie reakcji, zabezpieczającej wysoką dywidendę, rzucają zawsze miljonowe fundusze agitacyjne, maszerują generałowie i oficerowie, dzisiaj pozbawieni wpływów i dostatków. Obecny przewrót w Niemczech jest poprostu zmartwychwstaniem Niemiec Wilhelma II, próbą rozpaczliwą wskrzeszenia tego, co się zapadło pod

ziemię w sekundzie, gdy Erzberger w wagonie marszałka Focha podpisywał zawieszenie broni".

Pozornie wygląda to wszystko groźnie, jak powrót Napoleona z wyspy Elby, jednakże—przypomina „Przegląd" —

„po Stu Dniach przyszło przecież Waterloo, gdyż biedny cesarz Francuzów miał przeciwko sobie całą Europę, za sobą zaś nawet nie miał całej Francji. Tym razem cała Europa jest przeciwko Kappowi i Tirpitzowi, a Niemcy przepołowione. Zimnej krwi zatem i energji!"

Program rządu p. Kappa, po odrzuceniu obsłonek stylistycznych odezwy, przedstawia się w streszczeniu *Gazety Warszawskiej* następująco:

„Naprzód wysunięty jest postulat zasadniczej zmiany traktatu Wersalskiego, bowiem w pojęciu Niemców niemal wszystkie jego postanowienia bądź są sprzeczne z „honorem narodu niemieckiego", bądź godzą w „jego siły żywotne", bądź nie zapewniają „zdolności pracy", bądź równają się „samobójstwu narodu".

Następnie rząd pragnie się oprzeć na tych żywiołach, które stanowiły podstawę dawnego ustroju Prus. A więc zapewnia wolny handel ziemiopłodami w myśl żądań agrarjuszów wielkich i małych, gwarantuje, wbrew planom socjalistycznym, wypłatę pożyczek wojennych wielkim i drobnym kapitalistom, obiecuje przywrócić na urzędy tych wyższych urzędników, których zmiotła rewolucja, jako najjaskrawszych przedstawicieli dawnego reakcyjnego systemu, przyrzeka otoczyć szczególną opieką wojskowych i ich rodziny. Jest to wyraźny program oparcia się na junkrach i związanych z nimi kołach biurokratycznych i militarnych".

Oczywiście nowy rząd występuje stanowczo przeciwko socjalistom i zapowiada bezwzględne tłumienie strajków i sabotażu, jako objawów „zdrady wobec narodu, ojczyzny i przyszłości".

Jakikolwiek jednak będzie dalszy przebieg wydarzeń w Niemczech, przewrót ten posiada doniosłe znaczenie, zwłaszcza dla nas, ponieważ żywioły, które go wywołały będą dążyły do obalenia postanowień traktatu Wersalskiego przedewszystkiem w sprawie Górnego Śląska, oraz Prus Królewskich i Książęcych, które stanowią podstawę siły junkierstwa pruskiego.

„Nie można przeto zamykać oczu—pisze Gaz. Warsz.—na prawdopodobieństwo nowych zawikłań wojennych w Europie, a zwłaszcza wojny polsko-niemieckiej. Jednakże zagrożony jest wogóle cały traktat Wersalski, o ile pominąć sprawę panowania na morzu. Czy Ententa zdobędzie się po wypadkach obecnych na energję dostateczną, aby położyć kres temu niebezpieczeństwu, czy marszałkowi Fochowi dana będzie możność rozbrojenia Niemiec, aby zapobiec temu, co zamierzone jest jako powtórzenie „wojny o wolność" z r. 1813 po klęsce pod Jeną, a co może okazać się raczej „studniową" walką o odzyskanie dawnej potęgi? — Od odpowiedzi na te pytania zależy los Europy i pokoju Wersalskiego".

Że p. Kapp pokłada wielkie nadzieje na różnicę zdań i niesnaski pomiędzy aljantami, dowodzi tego ustęp jego deklaracji, w którym zaznacza, iż „świat jest rzeczywiście przekonany o konieczności odbudowy gospodarczej Niemiec". Jest to, jak słusznie stwierdza *Dziennik Powszechny*,

„aluzja do doktryny angielskiej—iż Niemcom trzeba dać możność wypłacalności, aby traktat Wersalski spełniły. Powinna ona pobudzić do namysłu te sfery francuskie, które dotychczas szły nazbyt skoro za prądem rewizji traktatu, ciągnącym od gabinetu p. Lloyda George'a".

O tem, aby rząd i większość opinji francuskiej dały się wyprowadzić w pole, Niemcy zapewne nawet nie marzą. Natomiast budzi powszechne zaciekawienie, jaką postawę i taktykę obierze obecnie Anglja, gdzie, zarówno jak i we Włoszech,

„żywioły germanofilskie, które usiłowały w ostatnich czasach wszelkiemi sposobami „ratować" Niemcy, znalazły się w dwuznacznej pozycji, gdyż popieranie przez grupy radykalne i socjalistyczne tych krajów reakcji pruskiej byłoby zjawiskiem mocno kompromitującem.

Kompromitacji jednak — dodaje „Gaz. Warsz."—widocznie nie obawiają się socjaliści w Polsce, usiłujący pogrążyć kraj w anarchji w chwili, gdy na zachodniej granicy Państwa Polskiego odrosła hydra wszechniemiecka, która wychodowała dla własnych celów bolszewizm moskiewski. Nieświadome i świadome narzędzia intrygi berlińskiej stworzyć chcą z Polski pomost między Niemcami Hindenburga a Moskwą Trockiego".

Że socjaliści polscy nie dbają nie tylko o kompromitację moralną ale i o przyszłość i całość własnego kraju, dowodzą tego ostatnie numery *Robotnika*, przepełnione groźbami strajku powszechnego z powodu militaryzacji elektrowni warszawskiej. Jednocześnie organ pp. Perlów, Diamandów, Bierencwajgów i Liebermanów gniewa się mocno na rząd Bauera-Noskego, za to, iż gnębił on komunistów, zamiast wziąć się za przykładem komisarzy ludowych z Bolszewji do oficerów i zamożnej burżuazji.

„Haniebna i bezprzykładnie małoduszna kapitulacja Noskego i S-ki—pisze „Robotnik"—przypieczętuje los tego odłamu socjalistów niemieckich, który dotychczas uchodził za większość wśród robotników. W ten sposób poprzez zamach Kappa - Lüttwitza dokonałoby się oczyszczenie szeregów socjalistycznych od elementów szkodliwych. Cała socjalistycznie myśląca i czująca klasa robotnicza Niemiec ze wstrętem odwróci się od popleczników Kappa, t. z. socjalistów, torujących drogę junkrom do władzy, a Wilhelmom do tronu.

Gdyby zamach reakcji rzeczywiście doprowadził do *jedności socjalistycznej* w Niemczech, to mimo okresu ciężkich walk i przejść, na jaki narażony byłby proletarjat niemiecki, zamach ten stanowiłby doniosłą kartę w historji niemieckiego ruchu robotniczego".

Jak będzie wyglądała owa „jedność socjalistyczna" po „oczyszczeniu" szeregów towarzyszy niemieckich, jest rzeczą dla każdego jasną bez bliższych określeń. O ewentualności takiego „zjednoczenia" wspomina właśnie *Kurjer Polski*, twierdząc, iż

„nie jest wcale pewnem, nie jest nawet wcale prawdopodobnem, żeby reakcja przeciw zamachowi p. Kappa i Lüttwitza wyprowadziła na powierzchnię te żywioły, które dotąd dzierżyły władzę w rękach.

Wahadło zegara pchnięte zostało tak gwałtownie, że w nieuniknionym, naszem zdaniem, ruchu powrotnym może się znaleźć daleko dalej na lewo, niż przed zamachem. Nic też bardziej znamiennego nad życzliwą neutralność, z jaką zamach p. Kappa przyjęli — niezawiśli socjaliści. A przecież trudno przypuszczać, żeby mogli wciąć na serjo zwrócone do nich, a przeznaczone dla ich rosyjskich przyjaciół czułe słowa odezwy rządu, który jest klasycznym przedstawicielem „ciężkiej industrji" niemieckiej, a więc żywiołu także w sprawach socjalnych w najwyższym stopniu reakcyjnego. Nie! niezawiśli spokojnie czekają swojej godziny, będąc pewni, że bardzo rychło nadejść musi. Rozumują zapewne tak, jak ich przyjaciel p. Radek w liście do p. Daszyńskiego, a przytem liczą może nawet na marszałka Focha, na powtórzenie się w stokroć korzystniejszych dla siebie warunkach historji komuny paryskiej z r. 1871 à rebours pod paszczami armat nieprzyjacielskich."

Gazeta Poranna zwraca uwagę, iż przewrót niemiecki nie powinien pozostać bez wpływu na nasze stosunki wewnętrzne:

„W chwili, gdy u granicy naszej zachodniej staje znowu zbrojny i drapieżny militaryzm pruski — pisze „Gazeta" — jest oczywistą zbrodnią wszystko, co grozić nam może rozstrojem i osłabieniem wewnętrznem.

„Strajki — to zdrada wobec narodu, ojczyzny i przyszłości" — głosi w swej pierwszej odezwie nowy rząd niemiecki.

W chwili, gdy socjalistyczny rząd Rosji sowieckiej surowo zakazał strajków, gdy najpotężniejsza w Europie partja socjalistyczna w Niemczech odrzuciła strajk powszechny jako oręż w obronie rządu socjalistycznego, jest rzeczą jasną, że podwójną, potrójną zdradą narodu i ojczyzny jest strajk w Polsce, wtłoczonej pomiędzy dwie potęgi drapieżne i o swój byt niepodległy toczącej krwawe zapasy.

Nie tylko sumienie, ale prosty, bezpośredni interes materjalny robotnika powinien mu w chwili dzisiejszej wskazać, że niewolno mu iść na lep agentów-prowokatorów prusko-żydow-

sko-moskiewskich, wzywających go do strajku w tak ciężkiej, decydującej może dla Ojczyzny naszej chwili".

Lector.

Uwagi.

W Krakowie wykryto niedawno paskarską aferę pani Diamand, która jednak, jak się okazało, z wyjątkiem nazwiska nie miała nic wspólnego z jednym z naszych djamentów socjalistycznych.

Nieco inaczej rzecz się ma z p. Zofją z Okoniów Tomaszewską, która jest rzeczywiście siostrą warszawskiego „suwerena" i twórcy „republiki Tarnobrzeskiej" ex-księdza Eugenjusza Okonia. Jak wynika z oświadczenia Magistratu m. Tarnobrzega i komisarza rządowego, p. Okoniowa za poręczeniem brata—„suwerena" otrzymała w Puzappie w Warszawie 139 funtów skóry wartości 2462 mk. 20 fen. (ceny rządowe) i 150 stóp wartości 1705 mk. 20 fen. Skórę tę sprzedała szewcom i handlarzom po cenach potrójnie wyższych. Sprawą tą zajęła się prokuratorja Państwa i sąd powiatowy w Tarnobrzegu.

Prócz tego taż pani sprzedała materję i starzyznę wartości najwyżej 2 tysięcy koron, za 13 tysięcy. Sprawa ta znajduje się w sądzie Rzeszowskim. Jeżeli dodamy do tego paskowanie naftą i solą — będziemy mieli całokształt działalności pani Zofji z Okoniów Tomaszewskiej.

Najciekawszym jednak ze wszystkiego jest fakt, iż suwerenny Okoń kategorycznie zaprzeczył doniesieniu gazet o jego bezpośrednim udziale w paskarskich aferach siostruni, co zmusiło komisarza rządowego W. Langa do urzędowego stwierdzenia w dziennikach galicyjskich, iż Zofja z Okoniów Tomaszewska otrzymała skórę z Puzappu „za upoważnieniem i poręczeniem posła Eugenjusza Okonia".

(l.).

* * *

Poznański Urząd Walki z Lichwą i Spekulacją w ciągu 5 miesięcy załatwił około 10.000 spraw i wyznaczył przeszło półtora miljona marek grzywien w brzęczącej monecie. Skonfiskowane towary przekazuje spółce spożywców „Zgoda" do dalszej sprzedaży.

A u nas w Warszawie? Dlaczego p. Ptaszyński nie nauczył się niczego od poznaniaków? Może p. Ptaś będzie ruchliwszy od swego poprzednika i wyfrunie po naukę do Poznania?

(l.).

Z PISM i KSIĄŻEK.

„Prąd" miesięcznik społeczny i literacko-naukowy, Nr. I, rok VIII, Warszawa, marzec 1920 r. str. 48, cena egzemplarza 6 marek lub 35 mk. prenumerata półroczna.

Pod tym tytułem zostało wznowione przerwane wojną wydawnictwo miesięcznika, przeznaczonego głównie dla młodzieży akademickiej.

W odezwie redakcyjnej czytamy, że „Prąd" będzie miał za zadanie „kształtowanie tężyzny narodowej i duchowej", i walkę z „niemocą, bezwładnością, z lenistwem duchowem i fizycznem — z brakiem poczucia odpowiedzialności — słowem z tem, co chce nas od wewnątrz zgubić, zniszczyć doszczętnie." A z dwóch obozów, na jakie się świat podzielił: bolszewizm i chrystjanizm „Prąd" opowiada się za ostatnim, „jako jedynie twórczym czynnikiem kultury".

Po odezwie idzie artykuł redaktora „Prądu" p. Władysława Lewandowicza p. t. Prądy umysłowe w współczesnej Francji. I. Przezwyciężenia anarchji duchowej. Dalej: „Ernest Haeckel", „Rok państwowo-twórczej pracy", „Założenie Instytutu nauk słowiańskich w Paryżu", sprawozdania i krytyki, korespondencje i t. d. Z działu kroniki na uwagę zasługują wrażenia z pierwszego ogólnego zjazdu młodzieży akademickiej.

Całość zeszytu I przedstawia się sympatycznie; artykuły są poważne i treściwe, a jak na pismo młodzieży akademickiej — bez zarzutu.

„Prąd" jest jedynem pismem katolickiej młodzieży akademickiej, stąd też poparcie mu się należy. A ideały, którym służy, są ideałami „Sprawy", przeto młodszemu towarzyszowi pracy odrodzeniowej w duchu katolickim życzymy powodzenia i uwadze czytelników naszych „Prąd" polecamy.

„SPRAWA" wychodzi pod kierownictwem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego, przy udziale panów: Leona Babińskiego, Tadeusza Błażejewicza, Józefa Chacińskiego, Stanisława Cywińskiego, X. Dr. Józefa Hergeta, Stanisława Skoniecznego, Adama Lach-Szymańskiego, X. Prof. Kazimierza Tomczaka i X. Adama Wyrębowskiego. — Sekretarz Redakcji Adolf Cichocki.

Prenumerata „SPRAWY" wynosi rocznie Mk. 90, półrocznie Mk. 46, kwartalnie Mk. 24. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.
OGŁOSZENIA: Za jeden wiersz petitu, lub jego miejsce: przed tekstem Mk. 1.50, w tekście Mk. 3.—, reklamy Mk. 1.25, zwyczajne Mk. 1.— Administracja: Wilcza Nr. 2 m. 2 otwarta od g. 9 do 3. Tel. 84-71. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY" Wilcza 2 m. 2.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.